dn. 15 VII 19 47

W numerze: Antoni Słonimski - Literatura w UNESCO
Erazm - Rewolucja filozofów

Cena 15 zł. Stron 12

KUŹNICA

Rok III Łódź, 15 lipca 1947 r. Nr 28 (97)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Zbłąkanego nocą w ogromnym lesie wiedzie mnie jedyne, małe światełko. Przychodzi nieznajomy i mówi: przyjacielu, zdmuchnij tę świeczkę, a będzie ci łatwiej odnaleźć drogę. Owym nieznajomym jest teolog.

Denis Diderot.

TREŚĆ NUMERU:

MIECZYSŁAW JASTRUN — **KASPROWICZ — PO LATACH**

ERAZM — **REWOLUCJA FILOZOFÓW**

WITOLD ŁUKASZEWICZ **PARYŻ I POLACY W PARYŻU PODCZAS REWOLUCJI (1789—94)**

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI — **PRZEBUDOWA ŻYCIA KULTURALNEGO**

PAWEŁ HERTZ — **ODWIEDZINY U PROUSTA (II)**

ADAM BROMBERG — **PLANY I REALIZACJE (III)**

MIECZYSŁAW PIOTROWSKI — **INSCENIZACJA PLASTYCZNA „CELESTYNY"**

JULIUSZ ŻUŁAWSKI — **„ŻOŁNIERZ I BOHATER" W TEATRZE KAMERALNYM**

ANTONI SŁONIMSKI — **LITERATURA W UNESCO**

KAZIMIERZ BUDZYK — **SKOŃCZYĆ Z BURZLIWĄ DYSKUSJĄ W SPRAWACH WYDAWNICZYCH**

STEFAN OTWINOWSKI — **W KRAKOWIE (list dwudziesty drugi)**

LIDIA ŁOPATYŃSKA — **CZY NAURAWDĘ „POEZJA POZORU"**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

MIECZYSŁAW JASTRUN

KASPROWICZ—PO LATACH*)

ZLIRYKĄ Kasprowicza zaznajomiłem się we wczesnych latach gimnazjalnych, czytałem ją później w różnych okresach życia, teraz po długiej przerwie odczytuję na nowo dobrze znane mi strofy. Ten szczegół podkreślam nie dlatego, by budzić sentymentalne wspomnienia, lecz dlatego, że sprawę pierwszej lektury pierwszego wrażenia uważam za bardzo ważną, czasem decydującą dla późniejszego sądu o dziele literackim. Niektórzy czytelnicy i krytycy temu pierwszemu wrażeniu zawdzięczają niekiedy całą swą wiedzę o poezji. Zdarza się nawet, że późniejszych utworów tego samego poety nie przyjmują więcej, podobni do kwiatów o rzadkiej barwie i piękności, które jednak zamykają się zbyt łatwo. Pamiętam, kiedyś, myszkując wśród pożółkłych już roczników pism literackich w domu moich rodziców natrafiłem na stary „Muzeion", tak świetnie niegdyś redagowany przez L. H. Morstina. Wśród studiów i sprawozdań Grzymały Siedleckiego, który w czasach „Muzeionu" przeżywał swój najlepszy okres, przeczytałem recenzję tego pisarza z tomu poezyj Kasprowicza. Nie pamiętam już dokładnie treści wywodów krytyka, zapamiętałem jednak zacytowany w tej recenzji wiersz Kasprowicza:

Gdy przyjdzie czas, gdy przyjdzie czas
Odchodzić od pól tych i łąk,
Słońcu się nisko pokłonię,
Niebu pokłonię się wkrąg.

O Boże mój, o Boże mój! —
Tak szepnę usty wdzięcznemi:
Dałeś mi wszystko, co mogłeś:
Zapach tej drogiej ziemi.

Żal będzie iść, żal będzie iść,
Ciężar zawiśnie u stóp,
Chyba, że w gór tych obliczu
Cichy sprawicie mi grób.

Zachwyciły mnie wtenczas te strofy. Krytyk pisał, o ile dobrze pamiętam, o związkach z ziemią, o słowiańskości gestu poety, zestawiał ten utwór z wierszem Puszkina „Stance", których ostatnią strofę przytoczył w transkrypcji łacińskiej:

I pust' u grobowowo wchoda
Mładaja budiet żizn' igrat'
I rawnodusznaja priroda
Krasoju wiecznoju sijat'

Nie przypuszczałem wtedy, że w wieku dojrzałym będę ponawiał kilkakrotne próby przekładu nieśmiertelnego wiersza Puszkina. Te dwa utwory splotły się w mojej pamięci dzięki pośrednictwu krytyka. Dziś, kiedy patrzę na nie z perspektywy różnych prób i doświadczeń odnajduję jeszcze dawne doznanie, ale w wierszu Kasprowicza bruździ mi zwrotka końcowa:

Tej roli piędź, tej roli piędź
Ostatnią mi będzie ostoją:
Tu się mej duszy tęsknice
Na wieki wieków ukoją.

Język Młodej Polski jest nam dalszy niż mowa Kochanowskiego, czy Szarzyńskiego. „Tęsknice duszy" — ta maniera jest nie do przyjęcia.

Wtenczas nie umiałem jeszcze czytać poprzez wiedzę o literaturze, przyjmowałem wszystko wdzięcznym uczuciem Toteż pamiętam pierwsze zdziwienie, gdy w jakimś zamierzchłym roczniku „Tygodnika Ilustrowanego" przeczytałem wypowiedź Kazimierza Tetmajera na temat poezji Krasińskiego. Tetmajer przytaczał fragment opisu Alp z „Przedświtu", chwalił jego świetność poetycką, by zacytowawszy urywek następny, stwierdzić, że w Krasińskim było dwóch poetów: jeden wielki, drugi — mierny.

Później wielekroć odczytywałem Słowackiego krytykę poezji Bohdana Zaleskiego, krytykę, w której poeta analizował wiersz po wierszu z całą znajomością warsztatu. Zrozumiałem wtedy, że nie wszystko, co uchodzi za poezję, jest nią, że wiersz powinien wytrzymać surowy rozbiór i być uzbrojonym przeciw nawałnicom czasu. Zapamiętałem także zdanie Słowackiego o tym, że bez wielkich ambicyj do niczego w poezji dojść nie można.

Otóż wydaje mi się, że ambicje Kasprowicza były ogromne, jeśli chodzi o rozpiętość tematyki, natomiast filtry jego artystyczne były słabe i zbyt wiele przepuszczające. Kiedy czyta się wiele wierszy Kasprowicza naraz, zwłaszcza „Księgę ubogich" i wiersze drobne, uderza zdumiewająca niedbałość w traktowaniu materiału słownego. Kasprowicz nie pokonuje oporu słów, nie płynie przeciw ich prądowi, lecz daje się unosić na powierzchni nurtom pozornie wzburzonej rzeki.

Jego wiersze regularne, te nawet, które mają obfite rymy i wyraziste miary, są właściwie pisane, wbrew pozorom, mową niewiązaną. Niema w nich bowiem frazy poetyckiej, niema śladu instrumentalizacji. Płyną na falach potocznej gwary, wtedy właśnie gdy poeta zabiega o wywołanie wrażenia kunsztu. Tam znów, gdzie zamierzona prostota, ubóstwo, „zgrzebność", jak o tej metodzie z pochwałą mówili czciciele talentu Kasprowicza, mają służyć wyrażeniu mądrości życia, tak dojrzałej i pokornej, że zrzuca z siebie przybrania — jak święty Franciszek, gdy stanął nagi przed biskupem — brak eliminacji, brak zwięzłości sprawia, że metoda ta nuży po kilku wierszach i zostawia wrażenie nieudanej stylizacji. W takim na przykład „Szumie wody" z tomu „Mój świat" gawędziarstwo poety, mające oddać „bełkotanie wody", byłoby może do zniesienia, gdyby nie nadmierne przewlekanie każdego motywu. Po strofce:

Dawniej sądziłem, że tylko
Ocean rozhukany,
Lub też alpejskie kaskady
Zmieniają duszę w organy, —

następuje o wiele gorsza:

Dawniej sam ja też szumiałem,
Jak rozszalała fala,
Rozprawiający się z Bogiem,
Który mnie słuchał — zdala.

i trzecia zupełnie już puszczona:

Dzisiaj — ha, może to życie
Już całkowicie jest marne! —
Nie troszczę się wcale o to,
Jak ja szum wody ogarnę.

Jednakże po głębszym wniknięciu okazuje się, że słabość tego wiersza tkwi nie tylko w przewlekaniu motywów. Tkwi przede wszystkim w niejednolitości stylu. Zawiązek i zarazem punkt szczytowy utworu jest w strofce o Panu Bogu:

Czasami Pan Bóg staruszek,
Pędzący przed sobą kawki,
Na krótką zatrzyma się chwilę
Około mojej ławki.

To jest w stylu, lecz psują wszystko cytowane już „alpejskie kaskady", które „zmieniają duszę w organy", i tym podobne obce wtręty. Dziecinnie prosty, bez rymów i żadnej ozdoby rapsod Słowackiego „Sowiński w okopach na Woli" może być wzorem poezji hamowanego uczucia i czystości kształtu, lecz nie wiersze typu kasprowiczowskich. No tak, ale Słowacki, gdy chciał, umiał zdyscyplinować swą mowę do najdalszych granic. Znał tajemnicę eliminacji i wyboru. On, tak wciąż rozkwitający płomieniami i kolorami, nie wyskoczył w żadnej ze strof „Sowińskiego" z tęczą, Irydą, lub błyskawicą.

Kasprowicz nie eliminuje, nie umie się wyrzec niczego i dlatego często traci wszystko.

„Szum wody" nie jest bynajmniej wyjątkiem. Przykład to pierwszy z brzegu, wcale nie jaskrawy; na każdej stronicy dzieł Kasprowicza można znaleźć potwierdzenie tezy o niedonoszeniu i lenistwie formy tego poety. Proszę mi tylko nie mówić o „gazdostwie" metody Kasprowiczowskiej, o świętej prostocie i t.d.. To bardzo wygodna formuła entuzjastów nieładu i ubóstwa myśli. Owszem, potrafię się zachwycić autentyczną, prawdziwą prostotą pieśni staropolskiej:

Dusza z ciała wyleciała
Na zielonej łące stała...

Ale to przecież jest lepiej zorganizowane niż udające prostotę franciszkańską rozgadane i rozbełtane wiersze „Księgi ubogich" lub „Mojego świata".

Tam, gdzie zaczyna się gadulstwo, kończy się poezja. I niech mi nikt nie tłumaczy, że to gadulstwo jest zamierzone, że w nim wyraża się pokora wobec świata. Cóż za przewrotna dialektyka!

Aktor, który porusza się na scenie tak samo jak w życiu prywatnym, by w ten sposób narzucić wrażenie naturalności, jest złym aktorem. Jego naturalność musi być wtórna, wystudiowana, musi on pokonać swoją codzienną osobowość po to, by zdobyć naturalność sztuki, nie osoby, z którą rozmawiamy przy obiedzie lub podczas przechadzki. Nie pojmuję, jak mógł Kołaczkowski szczerze zachwycać się nudnym wielomówstwem „Marchołta", nie rozumiem jak mógł Ostap Ortwin nie dostrzec w „Księdze ubogich" łataniny formalnej i nie zamierzonego ubóstwa. Zdaje się, że gromki frazes metafizyczny zamykał usta tym wybitnie uzdolnionym krytykom.

Nadużywanie przez Kasprowicza drobnych wyrazków, zaimków wskazujących, przysłówków, (tak potępiane ongiś w poezji przez klasyków, również przez Mickiewicza i Słowackiego, którzy nie zapomnieli wyniesionych z młodości dyscyplin), jest zewnętrznym znakiem nieporadności formalnej poety. Można obserwować podczas lektury licznych wierszy Kasprowicza jak poeta boryka się z trudnościami kształtu i jak szybko składa oręż. Bardzo typowy pod tym względem jest sonet: „Nie wstydzę się":

Nie wstydzę się, iż życie mija bez
czynu,
Że tylko słucham wiatru i poszumu
rzeki,
Że patrzę przez me szyby, jak zachód
daleki
Osłania wierchy górskie przędzą z se-
ledynu,

Z błękitu i purpury... Ze swojej opieki
Wypuści mnie Ojczyzna? Nie powie mi
„synu"?
I cóż? Od miłosnego dawnom odwykł
płynu,
A zniosłem już niejedne skowyty
i szczeki

*) Jan Kasprowicz — *„Wybór poezyj"* ułożył Leopold Staff. Spółdz. Wyd. „Książka".

Jan Kasprowicz — *„Księga ubogich"* Spółdz. Wyd. „Książka".

Chociażby własnej duszy. Ale na pociechę,
By zbyt nie zaciężyła czelność ma na szali,
Opowiem wam, słuchajcie: rzuciwszy raz strzechę

Mych ojców, w pole-m pobiegł i grudę, obsianą
Przelichym, wątłym ziarnem, serca mego raną
Zwilżyłem potajemnie... Czyn ten mnie ocali...

Sonet ten ma niezły początek, ale spójrzmy co dzieje się w drugiej strofie, dokąd zawozi poetę rym czterokrotny. Cóż to znaczy: „Od miłosnego dawnom odwykł płynu"? Albo owe „szczeki duszy"? W zakończeniu znów odzyskuje poeta równowagę, ale gra nie opłaciła się w tym sonecie. Właśnie, że można się wstydzić.

Albo takie „Akordy jesienne":

Pełzam nieraz jak gadzina
śród bagnistych skryta łąk,
jak potulne bydlę w jarzmie
tak swój twardy zginam kark!

Pieśni nasza! Smętno tobie
i samotno? Czujesz ból,
że ukochan przez cię człowiek
nie chce słuchać twoich grań?

I tak dalej. Nie chcę nużyć czytelnika dłuższymi cytatami z tego poematu. Byłoby grubą niesprawiedliwością twierdzić, że tak jest zawsze u Kasprowicza. W „Księdze ubogich" jest kilka ustępów prawdziwie pięknych, żeby wymienić choćby „Rzadko na moich wargach" albo „Przestałem się wadzić z Bogiem", albo poszczególne strofy, albo poszczególne zdania. Na przykład obraz Tatr w rozdziale XVI:

Wieczyste kamienne granie
Czarne, błyszczące skały,
Co same się w żarach słonecznych
Posępnie rozmiłowały

Wreszcie trudno nie doceniać faktu, że ów kanciasty kształt strof „Księgi ubogich" jest wynalazkiem Kasprowicza, przynajmniej on tylko użył ich w takiej obfitości i dla celów zgodnych ze swym zamiarem lirycznym. Indywidualny bardzo jest właśnie ton „Księgi ubogich", sugestia jej była niegdyś tak duża, iż zakryła przed oczami krytyków i czytelników wszystkie biedy i łatwizny tej książki — niezamierzone przez autora. Dzisiaj sugestia ta opadła, surowy czas, który tę księgę oddalił od nas, pozwala spojrzeć na nią bez uprzedzeń. Jej skazy są dzisiaj bardziej widoczne, niż jej zalety. Czytamy dzisiaj w niej tylko to, co jest w niej naprawdę, nie my ją niesiemy na fali naszego uczucia, chcemy, aby nas niosła i pokonała.

Z „Hymnów" chyba tylko „Święty Boże" ma jeszcze najwięcej z potęgi uczucia, choć nadmierne dłużyzny w opisach osłabiają wrażenie całości. Krótka „Litania do szatana" Baudelaire'a jest niewątpliwie skuteczniejsza od tego ogromnego rynsztunku, który przypomina w technice „Grunwald" Matejki i jak on nie daje się objąć jednym spojrzeniem. Jest w nim jednak prawdziwa krew, są w nim prawdziwe łzy, — to bardzo wiele. Jest nadto wielką zasługą Kasprowicza umiejętne w tym utworze rozbicie konwencyj wiersza regularnego, skąpe używanie rymów, zorkiestrowanie toku wolnej frazy. Hymn ten należy do najbardziej poetycko zorganizowanych utworów Kasprowicza, jest o wiele lepiej artystycznie pokonany, mimo wolnego wiersza, niż wszystkie próby tego poety, oparte na wzorach najbardziej wyrafinowanych tradycji wersyfikacyjnych. Godzi się przypomnieć, że zasługę Kasprowicza jako twórcy wolnych układów wierszowych w Polsce podniósł przed laty Tadeusz Peiper, jeden zresztą z pierwszych przeciwników poezji autora „Anima lachrymans".

W całości sprawia poezja Kasprowicza wrażenie wielkiego brulionu, który dopiero czeka na skreślenia autora, na energiczne pióro, co nie zawahałoby się przed bolesnymi zawsze dla poety cięciami. Tymczasem nożyce Kasprowicza są szeroko otwarte. Jest w tym jakieś nieporozumienie, w którym umocniła poetę bezkrytyczna krytyka. Jeżeli sięgniemy do przekładów Kasprowicza (jak wiadomo, przekładał wiele i z różnych języków), obraz techniki pisarskiej tego poety znajdzie pouczające dopełnienie. Któż nie woli czytać dramatów Szekspira raczej w przekładach Paszkowskiego lub nawet Ulricha (niedoskonałych zresztą) niż w tłumaczeniach Kasprowicza. „Sonety" Szekspira straciły w interpretacji autora „Księgi ubogich" całe swoje bogactwo, subtelność odcieni, czystość wyrazu. Czytałem je w przekładach niemieckich i rosyjskich i podziwiałem, czytałem je w przekładach Kasprowicza — i cierpłem z nudy. Shelley'a również nie podobna przyjąć w tłumaczeniach naszego poety. Może tylko poemat „Mont Blanc", ale i tam zawadza nieznośna niby - gwara podhalańska, zastosowana do poety Albionu. Natomiast przekład przedśmiertnego wiersza Byrona jest znakomity. Świadczy on, między innymi, o zmarnowanych możliwościach naszego poety. Dotyczy to niestety nie tylko Kasprowicza. Cała Młoda Polska, obfitująca w tyle świetnych i burzliwych talentów padła ofiarą złych wzorów literackich, padła ofiarą secesji z jednej strony, fałszywie pojętej ludowości — z drugiej. Forma jej, jakby powiedział Norwid, świadczyła o rozbiorze kraju, o fatalności godziny historii, w której żyli ówcześni pisarze polscy. Jakże inaczej wytłumaczyć i usprawiedliwić fakt, że Kasprowicz przekładał największych tragików greckich z nieporównaną swobodą i niewiernością w stosunku do oryginałów? A spróbujmy przełożyć wiersze Kasprowicza na obce języki. Okaże się, że ładunek intelektualny tej poezji nie jest dostatecznie ciężki, by mógł obudzić zainteresowanie gdziekolwiek. Mówię o tym, gdyż nie jeden raz pisano o Kasprowiczu jako o poecie najbardziej „ogólnoludzkim" spośród poetów polskich. Tak, to prawda, że Kasprowicz porusza tak zwane wiecznie — ludzkie tematy, że sprawa niepodległości Polski nie pasjonuje go w przeciwieństwie do Wyspiańskiego. Jednakże nie ten jest poetą „ludzkości", kogo wzrusza los człowieka, lecz ten, kto temu wzruszeniu potrafi dać kształt wielki. Często zestawiano nazwisko Kasprowicza z nazwiskami największych poetów świata. Oczywiście było to wielkie nieporozumienie. W odczycie „Podstawy liryki Kasprowicza" (R. 1926 — „Próby przekrojów" 1935) Ostap Ortwin skarży się na niedocenianie poezji Kasprowicza w szerokich kołach społeczeństwa wbrew podziwowi „znawców" i podejmuje okrzyk pewnego młodocianego entuzjasty tej poezji: „Onorate l'altissimo poeta".

Jeśli społeczeństwo ówczesne rzeczywiście zachowywało chłód w stosunku do liryki Kasprowicza, przemawiał przez nie zdrowy instynkt artystyczny.

Posłuchajmy natomiast, co mówili „znawcy". Oto kilka wyjątków z wymienionego już studium poważnego krytyka Ostapa Ortwina:

„Otchłanna twórczość Kasprowicza urasta teraz i rozprzestrzenia się odtąd wertykalnie do miary niebotycznych turni i głębi bezdennych żlebów".

„Poezja Kasprowicza zawiera jary sok, pełen pożywnych tłuszczów. I stąd wysoka jej, od czysto estetycznych sprawdzianów niezależna, wychowawcza, biologicznie hartująca wartość społeczną". Ten sam krytyk nazywa poezję Kasprowicza „ogólnoludzką, globalną i wszechświatową" i stawia tę poezję wyżej od Mickiewiczowskiej w niedopowiedzianym, ale i tak dość wyraźnym zdaniu: *„Obcujemy z tajemnicą wieszczego natchnienia któremu równą w piśmiennictwie naszym mieliśmy dotąd tylko chyba jeszcze w Mickiewiczowskiej Improwizacji".*

Można śmiać się z tych określeń, ale można także płakać. Płakać, gdyż skutki takich hymnów pochwalnych wybitnego krytyka (nie tylko tego, podobne hymny na cześć Kasprowicza tworzył inny wybitny krytyk Kołaczkowski — i legion pomniejszych) były opłakane. Jeżeli pewien uczony badacz literatury zarzucał Kochanowskiemu, że nie ma w jego poezji blasku i siły Improwizacji, to możemy wyrobić sobie pojęcie, do jakich nonsensów prowadzi podobna metoda krytyczna. Jeżeli dzisiaj wiersze i listy, które nadchodzą z głębokiej prowincji polskiej do redakcyj pism literackich od różnych poczciwców i zamyśleńców mają ton zadumy i medytacji Kasprowicza, to dowód, ile w tej „ogólno-ludzkiej" poezji było *prowincji*. Zapewne, jest to poezja „szlachetna", ludzka, pozbawiona tonów ułańskich, zadumana naprawdę nad życiem i śmiercią, niestety jednak tak jest niedbała w wyrazie, że wytwarza błędny stosunek do poezji w szerokich masach społeczeństwa.

Rozumiem dobrze, ile jest wzruszającego materiału w liryce Kasprowicza, jak nieobytego z poezją czytelnika przejmuje bezpośredniość wyznań poety. Działa tu jednak materia pozapoetycka, ta sama, która przyczynia się do popularności dzieł powieściowych. Nawet życiorys Kasprowicza jest wzruszający. Wyszedł z chaty wiejskiej. Od czasów Młodej Polski mieszczanin nasz wzrusza się dolą chłopa. Rzeczywiście, Kasprowicz należy do nielicznych naszych poetów, którzy wyszli z ludu. W początkach swej twórczości, nie bez wpływów pozytywizmu i Konopnickiej, poezja jego miała charakter społeczny, bojowy. Rychło wszakże następuje przeobrażenie Kasprowicza. Bunt społeczny roztopił się w metafizyce, protest przeciw przemocy ziemianina i fabrykanta przemienił się w protest przeciw krzywdzie „wiecznego człowieka". Prometejski bunt ustępuje później franciszkańskiej pokorze i prostocie. Społeczeństwo nasze nie lubi buntowników i rewolucjonistów. „Grób Agamemnona" strawiono tylko dlatego, że mistyczny okres twórczości Słowackiego daje ekspiację. Przemiana Konrada w księdza Piotra jest w pojęciach mieszczańskich normą obowiązującą. Słowa prawdy, owszem, ale muszą one być ocukrowane. Bezkompromisowość Norwida po dziś dzień budzi zastrzeżenia.

Krytyka ze szczególnym uznaniem witała metamorfozy Kasprowicza. Stały się one tematem szczególnie wygodnym w szkołach. Zagłębiono się tak dalece w metafizycznych zagadnieniach poezji Kasprowicza, że zapomniano nawet o jego poprzednikach, tęższych od niego. Już padło tu nazwisko Konopnickiej. Porównajcie społeczne wiersze Kasprowicza z jej utworami. O ileż lepiej są zbudowane wiersze Konopnickiej, ile trwalsze w wyrazie! Ludowość ich tkwi głębiej i mocniej w odczuwaniu i słownictwie ludu. Wystarczy przypomnieć popularny wiersz tej poetki: „A jak poszedł król na wojnę". Nic równie czystego i tkwiącego głęboko w języku wyobrażeń ludowych nie znajdziemy w chłopskich stylizacjach Kasprowicza. Jeśli lud Brodzińskiego zatracał prawdziwe swe rysy pod szminką sentymentalną, chłop Kasprowicza zamienia się w symbol metafizyczny. Sądzę, że w utworach Orkana chłop jest o wiele prawdziwszy, a tom wierszy tego poety „Z martwej roztoki" zawiera utwory bardziej od Kasprowiczowskich treściwe i doskonalej zbudowane. Gdyby Janicius pisał był po polsku, mielibyśmy już w XVI wieku dużej miary poetę pochodzenia chłopskiego. Może ten przykład byłby podziałał dodatnio, chociaż ciągłość naszej tradycji literackiej rwie się ustawicznie, i to jest największą klęską naszej literatury — obok braku odwagi mówienia prawdy, publicznie, nie w cztery oczy.

Gdyby krytycy nasi tę odwagę swego czasu mieli, powiedzieliby Kasprowiczowi i społeczeństwu, że wyżej znacznie od jego sztuki rymotwórczej stoją jego poematy prozą z cyklu „O bohaterskim koniu i walącym się domu". Nie chcąc by mi wierzono na słowo, przytoczę fragment z „Portalu katedry".

„Żalim jest godzien przestąpić próg katedry? Bramy jej otwarte dla cichych, a żal mój bywał głośny. Wczoraj. Lecz dziś opancerzyłem już piersi i gardło ściśnięte mam żelaznym kołnierzem, nie wołam, nie krzyczę, a tylko niemotą zdumionego wzroku próbuję mówić z głazami. Stoję na trzecim stopniu. Potężne ostrołuki. W kwiaty rzeźbione obramienia wnęki, Jakubowe symetryczne drabiny świętych, kolumny, pilastry, półsłupy, kapitele, czterolistne krzyże, galerye, fiale, obsypane krabami. Słońce cień swój wydłuża i rzuca go na króla w kamiennej, liliowej koronie, w sukni o martwych fałdach, nie sięgających kostek. Płasko-okrągłe nogi wysunęły się ponad krawędzie krokształtnu, w jednej ręce zwietrzałe jabłko, w drugiej berło, którego szczyt objadły deszcze. Włosy i broda w regularnych zesztywniały kędziorach, a oczy bez źrenic, dwie nieruchome gałki, uwięzły gdzieś w dali. Paszcze gargul i maszkar wiszą rozwarte nademną: lwice z wyciągniętym drapieżnie karkiem, dzioby kruków, zwrócone ku ścierwu ludzkiego grzechu, diabły rogate, pazurami przygniatające wieprza na olbrzymim jądrze nieczystości, makarele o zapadłych z rozpusty policzkach.

O dniu radosny, w którym było mi dane dotrzeć do głębi duszy, wyprowadzić z niej bliźniacze rodzeństwo, podziw i pokorę, i w niewysłowionych modłach kazać im wielbić portal gotyckiej katedry!"

Sądzę, że ten piękny urywek jest wymowniejszy i doskonalszy od wielu utworów wierszowanych autora „Księgi ubogich". Należałoby tu może nadmienić, że Kasprowicz tłumaczył z dużym odczuciem znakomite poematy prozą Aloysiusa Bertranda. Jeśli w świeżo wydanym przez „Książkę" „Wyborze", który jest podstawą niniejszego szkicu, poematy prozą, najlepsze bodaj dzieło Kasprowicza, nie znalazły miejsca, stało się to ze szkodą dla jego oblicza poetyckiego. W ogóle „Wybór" ten, mimo że przygotowany przez wielkiego poetę i znawcę liryki Kasprowiczowskiej — Leopolda Staffa może budzić pewne zastrzeżenia. Poza tym — cóż tu owijać w bawełnę — piękna, przynosząca zaszczyt wydawnictwu szata zewnętrzna obu tomów: „Wyboru poezji" i Księgi ubogich" kłóci się nieco z brulionowym charakterem dużej ilości wierszy zawartych w ich wnętrzu.

Rozczarowany wierszami Kasprowicza, spragniony jakiejś pocieszającej lektury (pociesza każda dobra poezja, choćby mówiła o smutku i rozpaczy) biorę w rękę mały tomik Sępa Szarzyńskiego. Młodo zmarły przed wiekami poeta, który napisał kilka sonetów — i który na zawsze pozostanie w liryce polskiej.

Te skromne wiersze mają cięższą wagę i napięcie wyższe od hymnów poety, który chciał wyśpiewać requiem „Ginącemu światu".

Mieczysław Jastrun.

JÓZEF SIERADZKI

ŚWIATŁA PO BURZY

Str. 180 — Cena 250 zł

Spółdzielnia Księgarska „CZYTELNIK" w Krakowie

ALEKSANDER PUSZKIN

DRAMATY

Przełożył SEWERYN POLLAK

Przedmowa Leona Gomolickiego
Ilustracje Mieczysława Piotrowskiego

Str. 256 „KSIĄŻKA" Zł 550

TREŚĆ Nr 27:

Stefan Żółkiewski — Uwagi o polityce kulturalnej (I). **Kazimierz Brandys** — O krytyce po raz trzeci. **Wiersze młodych. Paweł Hertz** — Odwiedziny u Prousta (I). **Zygmunt Fijas** — Śpiący pośrodku morza. **Adam Schaff** — O potrzebach szkół wyższych. **Tadeusz Hołuj** — Sprawa polska w Izbie Gmin (1830—1870) (III). **Józef Górski** — Rola postępowej ideologii. **Kandyd — Tak toczy się światek. Przegląd prasy. Korespondencja. Noty.**

ERAZM

REWOLUCJA FILOZOFÓW

W LISTOPADZIE 1790 roku członek Zgromadzenia Narodowego de Vilette wystąpił w klubie jakobinów z wnioskiem o uroczyste sprowadzenie prochów Voltaire'a do Panteonu. Rewolucja jest dziełem myśliciela z Ferney — oto zasadnicza myśl jego przemówienia. Rewolucja zawdzięcza wszystko pismom Voltaire'a i jego przyjaciół i towarzyszy. „Gdyby bowiem nie filozofowie, jeszcze i teraz fanatyzm rządziłby w stolicy. Dekrety Rewolucji są dziełem filozofów. Filozofowie są tymi, którzy je propagują, filozofowie są tymi, którzy ich bronią". Wystąpienie de Villette'a było dopiero początkiem wielkiej ofensywy na rzecz uczczenia Voltaire'a. Ofensywy bynajmniej nie łatwej. Bo reakcja, jeszcze żywa i zawsze czujna, robi wszystko, żeby nie dopuścić do sprowadzenia Voltaire'a do Panteonu. Kursują tajne pisemka, wzywające do walki z Rewolucją i jej filozofią, mury Paryża są pełne napisów i afiszów, poprzylepianych tajemniczą ręką, i wobec początkowej łagodności rządu jeszcze bezkarnie propagujących nietolerancję i idee wstecznictwa społecznego i politycznego. Co więcej, do Assemblée Nationale wpływa petycja, podpisana przez kilkudziesięciu wyższych duchownych i dygnitarzy miejskich, domagająca się, aby „przewiezienie zwłok Voltaire'a odbyło się bez zapowiedzianych ceremonii".

Mamy wiosnę 1791 roku. Do bitwy pod Valmy jeszcze daleko. Król żyje i działa. Emigracja jest potężna w ludzi i w zasoby materialne. Paryż i inne miasta Francji są widownią ekscesów ogłupionego propagandą rojalistyczną tłumu sklepikarzy i przekupionych łyków miejskich, ekscesów przeciw protestantom, Żydom i jakobinom. W tej sytuacji imię Voltaire'a jest wyzwaniem. Czy podejmie je Zgromadzenie Narodowe? 30 maja 1791 na trybunę wchodzi członek Konstytuanty Regnand de Saint-Jean-d'Angely: „O, dlaczego nie może wyjść z grobu apostoł tolerancji, ażeby zobaczyć wolność religijną, proklamowaną przez was, wobec tej nic nie znaczącej wrzawy ignorancji i perwersji paru ludzi zbłąkanych czy przekupionych! Jakżeż zawstydziłby fałszywych proroków, którzy chcą walczyć z prawdą i chełpią się napróżno, że ją zaciemnią! Jakże oświeciłby on te tysiące ludzi, których się dziś chce ośle pić!"

Zgromadzenie postanowiło przejść do porządku nad petycją, protestującą przeciw manifestacji wolterlańskiej i przeniesienie zwłok filozofa odbyło się z całym splendorem, jaki chcieli mu nadać patrioci. Raporty współczesne i opisy opowiadają o wspaniałości konduktu i entuzjazmie witających go tłumów. Przeniesienie zwłok Voltaire'a stało się olbrzymią manifestacją narodową i jednym z najwspanialszych świąt rewolucyjnego Paryża. Kiedy kondukt zatrzymał się na placu Bastylii, powitał filozofa napis, uwity z najpiękniejszych kwiatów Francji: „Przyjmij, Wolterze, w tym miejscu, gdzie więził cię kiedyś despotyzm, hołdy ojczyzny". Kiedy kondukt zbliżał się do Panteonu, radość ogarnęła tłum. Charakter pogrzebu z solennego przeszedł w świąteczny. Był to wjazd triumfalny. Voltaire w Panteonie — wiedziano o tym — to było widome nawiązanie Rewolucji do tradycji filozoficznej Oświecenia, oznaka triumfu nad reakcją, objaw dynamiki politycznej i intelektualnej. Wśród uczestników krążył anonimowy wiersz, dobitnie oddający nastrój uroczystości:

Ce ne sont plus des pleurs que nous devons répandre,
C'est le jour du triomphe et non pas des regrets.
Que nos chants d'allégresse accompagnent les cendres
Du plus illustre des Francais.

Voltaire spoczął w krypcie świątyni chwały. Na tym samym placu, na wzgórzu św. Genowefy, w kościele św. Stefana leżały prochy wielkiego liberatora myśli francuskiej Kartezjusza*). Rewolucja była świadoma symboliki tej bliskości. Chciano ją nawet uczynić jeszcze bardziej wymowną przez przeniesienie zwłok Descartes'a do samego Panteonu (dekret z r. 1793). Descartes działał jeszcze w czasach ucisku wolnej myśli. Jako myśliciel przezorny nie mógł jeszcze mówić jasno o wszystkim, co wiedział. Był ostrożny, a obdarzony przy tym temperamentem chłodnym, nie doświadczał też prawdopodobnie pokus wprowadzenia bardziej drastycznych wniosków z rezultatów, do których doprowadziły go jego badania. Tym niemniej dzieło, jakiego dokonał, miało znaczenie fundamentalne dla narodzin nowego poglądu na świat. Descartes, uwalniając filozofię od więzów teologii, ograniczając poznanie do poznania naturalnego, wprowadził filozofię na szlaki czystego racjonalizmu.

Mówiąc **racjonalizm** jesteśmy oczywiście świadomi dramatycznej wieloznaczności tego słowa. Reakcja posiada — trzeba jej to przyznać — niezwykle wyczulone podniebienie spekulatywno - pojęciowe. Racjonalizm? Racjonalistą był przecież i św. Tomasz i Duns Scotus. A scholastyka, czyż to nie czysty racjonalizm? — Otóż niewątpliwie tak, ale cała sprawa polega na tym, że jest parę racjonalizmów. Racjonalizmem nazywamy pogląd, wedle którego nie istnieje nic, co nie miałoby **sensu** istnienia. Racjonalizmem jest też teoria, wedle której pewne poznanie uzyskuje się jedynie

Jean Jacques Rousseau

na drodze dedukcji i analizy logicznej. Oba te racjonalizmy dadzą się pogodzić ze średniowiecznym poglądem na świat, pozostawiają one szerokie pole dla „poznania ponadzmysłowego" i co więcej, przeciwstawiają się empiryzmowi. Podkreślamy ten ostatni punkt. Racjonalizm i empiryzm! Cóż za możliwości dla historyków, żeby zdusić płodną prawdę o homogeniczności myśli Oświecenia i jego politycznej dokumentacji — Rewolucji francuskiej. A więc słyszymy, że **le siècle des lumières** nie był tworem intelektualnie jednolitym, bo walczyły w jego łonie dwa wykluczające się nawzajem kierunki: racjonalizm i empiryzm **). Że wobec tego jest oczywistym nonsensem powoływać się na wiek osiemnasty jako na apogeum myśli, wzór i wieczysty przykład jednorodności kultury europejskiej. Sprawa komplikuje się i komplikuje w myśl i w smak wrogów Oświecenia, bo znowu jeżeli zastanowić się nad empiryzmem, to okaże się, że i on nie jest prądem tak bardzo jasnym i jednoznacznym. Empiryzm to doktryna, opierająca poznanie na doświadczeniu. Ale na jakim doświadczeniu? Bywają różne doświadczenia. Bywa np. i doświadczenie mistyczne. Więc znowu radość i szukanie w literaturze 18-go wieku przykładów apologetów illuminacji. W ten sposób obraz Oświecenia i Rewolucji, tak doskonale zrozumiany przez prosty instynkt ludzi, zaciemnia się, aż wreszcie nie pozostaje z niego nic, z czego moglibyśmy czerpać siły. Ożywczy zdrój kultury Oświecenia zostaje przedstawiony jako bagienko, pełne najrozmaitszych dziwolągów, a Rewolucja, niewątpliwa konsekwencja Wieku Filozofów, jako przypadkowy wybuch zniecierpliwienia ze strony mieszczaństwa. Tendencja stara, znana od początku naszego stulecia. Ci sami ludzie, którzy usiłowali pogrzebać Renesans, zajmują się też Oświeceniem i Rewolucją.

Tymczasem rzecz w tym, że poczucie jedności kultury osiemnastego wieku, tak powszechne i tak optymistyczne, jest w istocie dobrze ufundowane. Wiek 18-ty był wiekiem racjonalizmu, ale racjonalizm ten trzeba pojmować w sensie pełnym treści i nieschematycznym, w tym sensie historycznym, którego fundamenty położył Descartes, a który rozwinął wiek osiemnasty. Racjonalizm jest empiryczny, nie przestając być racjonalizmem, albowiem dla niego doświadczenie jest możliwe tylko dla umysłu posiadającego rozum (**ratio**). Racjonalizm jest to bezwzględne zaufanie do rozumu naturalnego i do kontrolowanego przezeń doświadczenia, a votum nieufności wobec wszystkiego, co jest poza **ratio** i poza racjonalną empirią. Racjonalistą także w tym sensie szerokim i praktycznym jest Kartezjusz, bowiem poddaje on w wątpliwość wszelki autorytet i illuminacje nadnaturalne i wyłącza je z badań naukowych i medytacji filozoficznych. Racjonalistą jest też — przechodzimy już do Oświecenia — jeden z wielkich jego przedstawicieli Diderot, z upodobań niewątpliwie empiryk i materialista, a przytym eklektyk i pisarz, obdarzony tak wielkim temperamentem artystycznym i taką rozległością zainteresowań, że wprost wymyka się wszelkiej klasyfikacji. Podobnie racjonalistą jest d'Alembert, najbujniej i najgwałtowniej — Voltaire. Materializm? Wiek 18 zna niewątpliwych materialistów (Diderot, Holbach, La Mettrie). Zna i sensualistów: Cabanis, Condillac i Condorcet. (Ale Rousseau? Co zrobić z tą naturą bujną, przewrażliwioną i znowu jakże wszechstronną, dyletancką w najlepszym sensie i zmienną? Prawie każdy słyszał o sławnym konkursie Akademii w Dijon (r. 1750): „Czy odnowienie nauk i sztuk przyczyniło się do polepszenia obyczajów?" Ale nie wszyscy wiedzą, że Rousseau chciał początkowo napisać rozprawę w sensie pozytywnym. Pojechał z gotowym planem takiej odpowiedzi do Diderota, więzionego w tym czasie za materializm na zamku w Vincennes pod Paryżem. W rozmowie Diderot poradził swemu ówczesnemu przyjacielowi i przekonał go, że będzie oryginalniej, jeżeli napisze w sensie negatywnym. Tak urodził się „antycywilizatoryzm" Rousseau'a, który, zaczepiony o pewne sentymentalne tendencje epoki (kult dla człowieka pierwotnego, **le bon sauvage**), rozpoczyna istną epidemię miłości do natury i „stanu naturalnego" człowieczeństwa. Sam Diderot bynajmniej nie podlega chorobie, którą przypadkiem wywołał. A Voltaire wyraźnie szydzi z Rousseau i jego „dzikich" upodobań: natura nie jest dobra i dobrym może być tylko człowiek cywilizowany. „Nie wiem, poco istnieję — odpowiada „matka natura" w dialogu Voltaire'a — moi przodkowie byli biedni. Czy to zasługa być biednym?" (Obrona światowca, 1736).

Diderot (wg. obrazu L. M. Banloo)

„Naturalizmowi" przeciwstawia się „cywilizatoryzm". Turgot przemawiając w Sorbonie w r. 1750, stwierdza polepszenie obyczajów, większe zroumienie między narodami, rosnącą oświatę — wszystko to dzięki postępowi cywilizacji.

Co łączy wszystkich tych ludzi, o tak różnych poglądach i zainteresowaniach? Co daje im tę homogeniczność, której wyrazem jest Encyklopedia? Łączy ich właśnie racjonalizm, **le bon sens** kartezjański. Racjonalizm męski, nie lękający się służenia ludzkości. Racjonalizm, który każe im wszystkim posługiwać się rozumem i wyłącznie rozumem. Gdzieś toczą się krwawe wojny imperialistyczne. Filozofowie milczą. Żaden z nich nie jest szowinistą. Żaden z nich nie broni „słusznej sprawy" tych wojen. Filozofia i **bon sens** łączą myślicieli wszystkich krajów. Wiek 18-ty jest wiekiem kosmopolityzmu. Nacjonalizm jeszcze nie powstał do intensywnego życia. Manifestuje się tymczasem tylko w Niemczech. Niedługo rozleje się stamtąd, żeby uderzyć w racjonalizm i unicestwić na jakiś czas zdobycze Rewolucji. Ale teraz, w przeddzień Rewolucji na terenie Francji po prostu nie istnieje. Francuzi mówią o ludzkości, o doli i nędzy człowieka gnębionego przez absolutyzm, o przepełnionych więzieniach, o prześladowaniu zwolenników filozofów.

Bo nie zapominajmy, że pisma filozofów Oświecenia były zabronione, czytanie ich karane często więzieniem dozywotnim, a propagowanie ich idei niekiedy okupione śmiercią. Nie zapominajmy, że w przeddzień Rewolucji nauka dzieci chłopskich polegała wyłącznie na nauce religii. Racjonalizm musi więc zdwajać wysiłki dla propagandy „idei laickich". Nie czas myśleć o jałowych sporach na temat „istoty racjonalizmu", kiedy protestantów zarzyna się jak zwierzęta po miastach francuskich, kiedy nie upływa miesiąc bez nowej wiadomości o intelektualiście, który wpadł w ręce zbirów. „Pan urodził się obdarzony geniuszem najbardziej męskim — pisze Voltaire do d'Alemberta 4 czerwca 1769 — ale jest Pan wolny tylko ze swymi przyjaciółmi, kiedy drzwi są zamknięte". A w liście z 23 lipca 1769: „O moi filozofowie! Należałoby nam maszerować w zamkniętych szeregach jak falangi macedońskie". „Mówi się, że niedługo przeżyjemy ciekawe bardzo wypadki, które zrobią dużo dobrego. Trzeba, żeby wszyscy ludzie pióra zainteresowali się nimi. Myślę o literatach, którzy zasługują na to miano".

Wiek filozofów! A przecież ani jeden z tych ludzi nie został szczerze zaszczycony tytułem filozofa ze strony pedantycznych profesorów niemieckich oraz ich europejskich wychowanków z serca i rozumu. Oni oczywiście nie umieliby tchnąć ducha w nadchodzące wypadki i siłą swego płomiennego racjonalizmu i talentu oddanego ludzkości przeobrazić gotującej się rewolty w wielką Rewolucję. Dla nich sprawa Calasa nie byłaby godna zainteresowania. Co innego Voltaire: „Nie podobna podnieść głosu za wysoko w obronie prześladowanej niewinności!" (list do d'Alemberta z 24 maja 1764).

Ludzkość nie stworzyła jeszcze prawdziwej historii opinii ludzkich — mam na myśli opinie najszerszych warstw. Czytając o Oświeceniu i o Rewolucji można łatwo ulec złudzeniu, że idee filozofów wywołały same przez się, bezpośrednio, przewrót intelektualny i umożliwiły Rewolucję. Ateizm, teizm, panteizm, determinizm, materializm, sensualizm — wszystkie te idee niewątpliwie znalazły swój wyraz w politycznych i kulturalnych poczynaniach Rewolucji, ale musiały upłynąć dziesiątki lat, zanim zasymilowały się one odpowiednio, dostając się do aparatury intelektualnej zwykłego Francuza ***). Kiedy w r. 1744 Ludwik XV ciężko zaniemógł w Metzu, cała Francja drżała o jego życie. Stara burżuazyjna Francja, wbrew kursującym książkom i ulotkom, nie przestaje wierzyć w prawa królewskie i uważa się za własność monarchy. W połowie 18-go wieku istnieje po prostu nieprzebyta przepaść między warstwą intelektualną a resztą społeczeństwa, które ze zgrozą odsuwa się od nowych idei. Voltaire oddawał rzeczywistość, pisząc do d'Alemberta, że można być wolnym jedynie z przyjaciółmi i przy drzwiach zamkniętych. Kwitnie donosicielstwo. Do urzędów policji płyną oskarżenia, najczęściej anonimowe. I to wszystko —

---

*) Dziś zwłoki Kartezjusza spoczywają w kościele St Germain - des - Près. W kościele St Etienne - du - Mont jest pochowany Mirabeau i Marat.

**) Por. dzieło zmarłego niedawno Akademika Paul Hazard'a „La pensée européenne au XVIII siècle" Paryż 1946.

***) Znakomite studium tego zagadnienia stanowi dzieło profesora Sorbony Daniela Mornet'a „Les Origines Intellectuelles de la Révolution Française". Paryż 1934.

podkreślam — przy „najlepszej woli" ludzi, nie wahających się posyłać swych bliźnich na śmierć czy więzienie dożywotnie. Przepaść między filozofami a społeczeństwem zmniejsza się bardzo powoli, a istnieje aż do wybuchu Rewolucji Sypiące się wypadki polityczne, konieczność walki z reakcją, spalone mosty porozumienia i grożąca interwencja zagranicy sprzyjają popularyzacji doktryn Oświecenia, czy nawet zmuszają społeczeństwo do przyjęcia idei, które dla znacznej jego części są rewelacyjne, choć wiele z nich urodziło się więcej niż pięćdziesiąt lat przed tym. Polityka stwarza warunki sprzyjające dla idei filozofów i umożliwiające im zwycięstwo. Ale ta sama polityka w najdrastyczniejszym rozumieniu tego słowa, która powołała do życia myśli filozofów w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, w trosce Rewolucji o oświatę („Po chlebie oświata jest pierwszą potrzebą ludu" — woła Danton), w nadaniu obywatelstwa protestantom i Żydom, w podniesieniu po raz pierwszy w dziejach sprawy murzyńskiej, ta sama polityka zmusza teraz ludzi przez siebie odepchniętych do konserwowania i rozwijania idei najbardziej wrogich i nienawistnych Oświeceniu. Ludzie ci — emigranci — było ich prawie 160 tysięcy — opuścili Francję, złorzecząc jej ! za granicą, głównie w Niemczech, natychmiast ślepym prawem reakcji przylgnęli do idei obcych i wrogich myśli francuskiej. Sagnac, wielki historyk Rewolucji, powiada, że emigranci, przekroczywszy granice Francji, wpadli w istny szał miłości do folkloru i do sztuki gotyckiej i „przez swój smak średniowieczny i regionalistyczny zbliżyli się do ludzi Europy północnej". Nienawiść i poczucie rzekomej krzywdy kazało im szukać intelektualnych nadbudówek wszędzie, gdzie to było możliwe, z tym jednak zastrzeżeniem, ażeby nic w nich nie pochodziło ze współczesnej Francji. Na emigracji działa osławiony Joseph de Maistre, curiosum jedyne chyba w dziejach kultury (bardzo, bardzo czytany w dobie faszyzmu!). Gorliwy „katolik" (z tych, co nie wierzą w Boga); największy chyba wróg Rewolucji, którą nazywa „dziełem szatana", oraz entuzjastyczny apologeta kata, którego wizję wywołuje w swych „Wieczorach Petersburskich" (Kat pracuje, słychać gruchot łamanych kości i jęki ofiary. Kat służy „porządkowi świata", który poważyła się naruszyć Rewolucja).

Rewolucja mówi: Równość. Emigranci odpowiadają: hierarchia. Rewolucja walczy o racjonalizm — oni propagują mistykę. Rewolucja układa prawa człowieka. „Po raz pierwszy w dziejach świat usłyszał słowa skierowane do wszystkich mieszkańców planety, do Słowian i Germanów, jak i do ludów łacińskich, do czarnych i żółtych, jak i do białych: Wszyscy ludzie rodzą się i pozostają wolni i równi w swych prawach" *). Ale emigranci znają tylko narodowości (Znam Francuzów, Holendrów, Anglików i Rosjan — mówi Joseph de Maistre. — Dzięki Monteskiuszowi wiem, że można być Persem. Ale nigdy nie spotkałem człowieka).

Romantyzm, który poprzez swych przedstawicieli oryginalnych, poprzez swych epigonów i te kierunki, które niby powstawszy samorodnie jemu w istocie zawdzięczają swe istnienie (choćby Bergsonizm) zaciemniły nasz ogląd do tego stopnia, że wielu ludziom współczesnym raczej perwersja kontrrewolucji wydaje się być zgodna ze zdrowym rozsądkiem, aniżeli idee Oświecenia. Zapomina się (i trzeba to powtarzać wciąż i wciąż), że pogląd na świat, opinie religijne, smak artystyczny i literacki, ba — nawet najbardziej „prywatne" i intymne nawyki i „drgnienia serca" są owocem historii. Oświecenie i Rewolucja chciały wychować (czy raczej stworzyć) człowieka rozumu, człowieka platońskiego, którego cnoty są tylko wtedy cnotami, jeżeli kierowane są najwyższą wartością — rozumem. Wywyższyć rozum jako jedyny autorytet we wszystkich poczynaniach — to była istota Oświecenia, tak dobrze rozumianego przez Kanta — entuzjastę Rewolucji, który w swej rozprawie, poświęconej Oświeceniu taką daje jej definicję: „Oświecenie jest to wyjście człowieka z niedojrzałości, w którą popadł z własnej winy: „Bon sens" jest, zdaniem Kartezjusza, powszechny wszystkim ludziom, ale nie każdy potrafi z niego robić użytek. Jak robić użytek z rozumu — to właśnie kapitalne przedsięwzięcie „Wieku Filozofów". Ścierają się między sobą skrajni dedukcjoniści i empirycy, sensualiści i materialiści, deiści i ateiści, ale nie ma wśród tych ludzi — myślimy o tych, którzy wpłynęli duchowo na Rewolucję — nikogo, kto by ośmielił się szukać autorytetu w jakiejkolwiek sile aracjonalnej. Drogi postępowania, możliwości posługiwania się rozumem dzielą myślicieli Oświecenia, ale kult rozumu, który znalazł zresztą podczas Rewolucji tak drastyczną dokumentację, łączy ich wszystkich, czyniąc z 18-go wieku jedną, homogeniuns kulturę, i znowu — romantyzm, jako prąd, szukający w człowieku sił innych niż rozum, zachwalając mistykę, kabałę, okultyzm, wykosziawia kulturę europejską, a szukając podniet nie w sile, która ludzi łączy — rozum, ale w przypadkowościach klimatu i gleby, dzieli ludzkość na zamknięte „ghetta" kultur regionalnych. Wspominamy nawiasem, że Rewolucja zdawała sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa ludzi, którzy pod pozorami miłości regionalnej działali przeciw duchowi poczynań rządu. Czyż nie znamienne są słowa, jakie padły na Zgromadzeniu Narodowym w 1794 roku? „Emigracja i nienawiść mówi po niemiecku, federalizm i przesąd mówi po bretońsku, język francuski, który miał zaszczyt służyć Deklaracji Praw Człowieka, powinien być językiem wszystkich Francuzów".

Niestety Oświeceniu nie było danym zabezpieczyć na zawsze homogeniczności kultury europejskiej. Reakcja, która rozpętała się w Europie po Kongresie Wiedeńskim wykorzystała natychmiast istniejące już i czekające na swój Dzień prądy romantyczne. Rok 1830, 1848 — znowu fala optymizmu, nowy zryw ludu do walki z absolutyzmem, ale jakie to wszystko nietrwałe, dziecinne, barbarzyńskie niemal w porównaniu z Wielką Rewolucją. Przestano wierzyć w rozum — jego miejsce zajął „mętny sentymentalizm". „Kochano" może, ale już nie rozumiano. „Ludy" miały się „kochać", a z tej miłości dziecinnej i sztucznej miała narodzić się Nowa Europa. Urodziła się też — rozdarta tragicznie, nacjonalistyczna, straszna Europa Bismarcka, Wagnera, Hitlera.

Erazm

Paryż, w lipcu.

*) Albert Bayet, ze wstępu do „Eveil des peuples". 1939.

WITOLD ŁUKASZEWICZ

Paryż i Polacy w Paryżu podczas rewolucji (1789—94)

PARYŻ PRZEDREWOLUCYJNY

W latach 1758—88 wystawiono w Paryżu 10 tysięcy nowych domów. Ruch budowlany, popierany przez możnowładztwo świeckie i duchowne oraz przez bogate mieszczaństwo, zmienił oblicze miasta. Paryż stał się najelegantszym miastem w Europie. Arystokracja ulokowała się na przedmieściu Saint Germain, finansiści na pryncypalnej ulicy Saint - Honorè, wyżsi urzędnicy państwowi na Placu Vendôme, bogate mieszczaństwo w dzielnicy Marais, masy robotnicze zaś na przedmieściach Saint-Antoine i Saint-Marcel. Ulice miasta były oznaczone nazwami na specjalnych tabliczkach, częściowo oświetlone; ruch kołowy znaczny i niebezpieczny dla przechodniów. Wspaniałe kabriolety na wąskich i zatłoczonych uliczkach obalały przechodniów. W ogóle mało troszczono się „o pieszo chodzących śmiertelników". Jeszcze wiosną 1789 roku można było być w Paryżu świadkiem nie byle jakiego zdarzenia: oto książę Filip Orleański ścigał ze swą świtą myśliwską, tratując wszystko po drodze, jelenia od Mantmartre'u przez Plac Vendôme oraz najruchliwsze ulice miasta: Saint - Honoré i Ludwika XV.

Paryż — to w tym okresie miasto 200 klasztorów i kilkudziesięciu kościołów. W pierwszych mało było mnichów, w drugich niewielu wiernych. Pod opieką duchowieństwa świeckiego i zakonnego znajdowały się w Paryżu zakłady dobroczynności i szpitale: w Hôtel Dieu leżało około 30 tysięcy chorych rocznie, w Salpêtrière przebywało 7 tysięcy opuszczonych dzieci, starców, obłąkanych i kobiet złego prowadzenia; w przytułku Saint - Gervais co noc kilkuset biedaków otrzymywało pożywienie i nocleg. Szereg burs i stypendiów kościelnych ułatwiało biednej młodzieży miejskiej naukę. W roku 1781 otrzymał 600 liwrów nagrody za dobre postępy wychowanek Kolegium Św. Ludwika Maksymilian Robespierre. Rzemiosło paryskie uskarżało się na ten nadmiar ułatwień i udogodnień dla kształcącej się młodzieży, która nie chciała iść do terminu i pracować przez kilka lat za darmo u majstrów; wolała ona raczej kierować się na „pismaków gryzmołów", którzy nic nie posiadają oprócz pióra lub pędzla".

Zawód prawniczy był w Paryżu przedrewolucyjnym nadzwyczaj rozbudowany. Centrum ruchu prawniczego przed Rewolucją stanowił parlament paryski, instytucja przestarzała, dziwaczna, będąca w powszechnej pogardzie za przekupstwa i zdzierstwa, pozostająca w ciągłych zatargach z królem i ministrami z racji odmowy rejestrowania edyktów monarszych. Stanowiska sędziów i prokuratorów były kupowane za sumy od 30 — 500 tysięcy liwrów i przechodziły z ojców na synów. Nic zatem dziwnego, że poziom umysłowy członków parlamentu paryskiego był niski, a moralność przysłowiowa.

Na Placu Grève przed Hôtel de Ville tracono publicznie przestępców wśród wymyślnych tortur. Ciekawa i żądna sensacyj gawiedź zaprawiała się w ten sposób do późniejszych krwawych wystąpień podczas Rewolucji.

Istniała w Paryżu dzielnica błogosławiona przez ludzi stojących w kolizji w prawem, a szczególnie przez dłużników, dawne opactwo Temple, udzielająca zbawczego azylu. Znali ją dobrze Polacy, żądni przygód na „paryskim bruku", przeważnie latorośle najprzedniejszych rodów magnackich, rzadziej mieszczańskich

PARYŻ REWOLUCYJNY

Komuna i dystrykty. W chwili wybuchu Rewolucji Paryż posiadał pewną formę samorządu w postaci Zarządu Miejskiego, na czele którego stał przełożony kupiectwa (prévôt). Atrybucje administracyjne tego samorządu były mocno ograniczone przez specjalnego ministra królewskiego dla miasta Paryża. Wybuch rozruchów lipcowych 1789 roku spowodował zasadnicze zmiany w organizacji władz miejskich. Z 12 na 13 lipca powstał Komitet Nieustający, złożony z przełożonego kupiectwa Flessellesa i przedstawicieli dystryktów, który został zastąpiony 15 t. m. czyli nazajutrz po zburzeniu Bastylii, przez nowy zarząd z merem Bailly i Radę Generalną, do której wchodzili delegaci 60 dystryktów (obwodów wyborczych) miejskich, na które Paryż podzielono dla przeprowadzenia wyborów deputowanych stanu trzeciego do Stanów Generalnych. Powstała w ten sposób nowa forma administracji miejskiej — Komuna Paryska — która stanowiła wzór organizacyjny dla komun na prowincji i stała się uczestnikiem najważniejszych wydarzeń w latach 1789—94. Dystrykty paryskie nie rozwiązały się po przeprowadzeniu wyborów do Stanów Generalnych, lecz zaczęły organizować się z własnej inicjatywy jako nieustające organy administracji miejskiej w sprawach policyjnych, sądowych, skarbowych i innych, konkurując z Zarządem Miejskim i Radą Generalną. Rola dystryktów już podczas wydarzeń lipcowych 1789 r. była olbrzymia; one zmobilizowały i uzbroiły Paryż przeciw wojskom Ludwika XVI, stworzyły Komitet Nieustający i przeorganizowały władze miejskie po zamordowaniu zdrajcy Flessellesa, one powołały do życia Gwardię Narodową. Dlatego zostały uznane, aczkolwiek niechętnie przez Komunę, za oficjalne organy administracji miejskiej. Każdy dystrykt miał wydział obywatelski, składający się z 16 — 24 osób, który kierował zebraniami obywateli i załatwiał sprawy bieżące. Wszystkie zaś dystrykty paryskie miały własne Centralne Biuro Korespondencyjne, do którego wchodzili delegaci z każdego dystryktu. Był to już zawiązek późniejszej Komuny Powstańczej 9 — 10 sierpnia 1792 r.

Centralne Biuro Korespondencyjne porozumiewało się z komunami prowincjonalnymi, tworząc w ten sposób niezależny od Konstytuanty organ kierowniczy życia politycznego we Francji.

SEKCJE

Konstytuanta dołożyła wielu starań, aby podporządkować dystrykty Komunie i ograniczyć ich wpływ na prowincję. Ustawa municypalna z 27. 5. — 27. 6. 1790 r. zniosła dystrykty. Paryż został podzielony na 48 obwodów administracyjnych, zwanych sekcjami, w których do zebrań ogólnych dopuszczeni byli tylko „obywatele czynni" t. zn. ci, co płacili podatek równowartości trzech dniówek roboczych (cztery i pół franka). — Uprawnienia zgromadzeń sekcyjnych zostały ustawą ograniczone do wyboru władz sekcji, delegatów do Rady Generalnej i do składania przysięgi na wierność Rewolucji. Sekcje nie podporządkowały się ściśle przepisom ustawy. Komitety Rewolucyjne jako organy kierownicze sekcyj, składające się przeciętnie z 16 komisarzy każdy, broniły uprawnień zgromadzeń ogólnych sekcyj i nie zawisłości od Rady Generalnej Komuny oraz rezerwowały sobie prawo odwoływania się w razie potrzeby do Zgromadzenia Narodowego z pominięciem naczelnych władz miejskich. Ustawa z 1790 r. poddawała jednocześnie Komunę Paryską pod zwierzchnictwo Dyrektoriatu departamentu w sprawach administracyjnych. Ani Komuna, ani sekcje, nie zastosowały się do woli Konstytuanty i zlekceważyły ustawę, broniąc zdecydowanie swej autonomii. Komuna nie chciała się uzależnić od wiernego tronowi Dyrektoriatu departamentu Sekwany, sekcje nie miały zaufania do Komuny, kierowanej przez ludzi Lafayette'a. Sekcje wybierały same sędziów pokoju, ławników, sędziów rozjemczych; opanowały zarządy zakładów dobroczynnych, organizowały opiekę społeczną, przeprowadzały rozsprzedaż dóbr narodowych, tworzyły warsztaty pracy dla dla robotnych i czuwały nad aprowizacją ludności. Paryż liczył na początku Rewolucji ponad 600 tysięcy mieszkańców, z tego 40 proc. stanowili proletariusze. Na nich to właśnie opierały Komitety Rewolucyjne sekcyj swą siłę. Paryż jako największe skupisko biedoty stał się najpotężniejszym ogniskiem rewolucyjnym, taranem w walce z tronem, arystokratami, a później umiarkowaną żyrondystowską burżuazją. Sekcje obudziły stolicę Francji w roku 1792 i przygotowały Komunę Powstańczą, w sekcjach najpierw uformowały się idee komunistyczne w latach: 1792—3. Sekcje czuwały w dobie maximum nad cenami artykułów pierwszej potrzeby, uprawiały grunty miejskie leżące odłogiem, tworzyły ogródki działkowe itp. — słowem zaspakajały potrzeby szarego człowieka.

Rada Generalna Komuny Paryskiej i Zarząd Miejski tworzyły instytucje oficjalną ogólnomiejską i reprezentacyjną, władzę rzeczywistą nad Paryżem w czasie Rewolucji sprawowały zgromadzenia i Komitety Rewolucyjne 48 sekcyj miejskich, aż do chwili, gdy centralizm terrorystyczny Robespierre'a ugodził w nie jako w ośrodki nieustającego fermentu polityczno, tworzącego się na podłożu społeczno-gospodarczym. We wrześniu 1793 roku przeprowadzono w sekcjach generalną czystkę, usunięto elementy komunizujące, żyrondystowskie, klerykalno-rojalistyczne i podporządkowano Komitety Rewolucyjne ścisłemu nadzorowi Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego.

Z rozbiciem sekcyj przez Robespierre'a osłabła główna siła rewolucyjna, a w niedługim czasie masy sankulockie patrzyły obojętnie na upadek dyktatury góralskiej. Wyczerpała się bowiem energia rewolucyjna, której źródłem były sekcje paryskie.

STOWARZYSZENIA LUDOWE LUB BRATERSKIE

Co druga z 48-u sekcyj paryskich miała własne stowarzyszenie ludowe, zwane inaczej braterskim, którego zadaniem było wychowanie obywateli w duchu rewolucyjnym przez publiczne objaśnienie dekretów Zgromadzeń Narodowych i dyskusje nad bieżącymi zagadnieniami i potrzebami ludu. Założycielem stowarzyszeń braterskich był nauczyciel ludowy Klaudiusz Dansard. Od 2 lutego zbierał on w klasztorze Kapucynów plebs paryski obojga płci i składał mu sprawozdania z przebiegu obrad Konstytuanty oraz objaśniał Deklarację Praw Człowieka i Obywatela. Zbiórki odbywały się początkowo w ogrodach klasztornych w dnie świąteczne i niedziele. Z chwilą rozrostu tego pierwszego stowarzyszenia ludowego Jakobini rozciągnęli nad nim swą kuratelę, udzielając bezpłatnego przytułku w lokalu własnym na Saint-Honoré. Dansard okazał się wszakże niezdolnym do roli trybuna ludowego, był bowiem za mało rewolucyjny; został więc usunięty przez swych współtowarzyszy. W stowarzyszeniu zapanował duch skrajnie rewolucyjny. Przykład Dansarda oddziałał na sekcyjne Komitety Rewolucyjne. Za ich sprawą powstało w Paryżu do końca 1791 roku 19 stowarzyszeń braterskich, a w roku następnym do 10 sierpnia dalszych sześć, łącznie 25. Wśród założycieli znaleźli się najgłośniejsi przywódcy ludu paryskiego jak Santerre, Pache, J. Roux, Tallien, Sergent.

W kwietniu 1792 roku powstała Unia Braterska Gobelinów z siedzibą w Kościele Saint-Marcel. Polak K. F. Łazowski był jednym z jej założycieli. Procedura przyjęcia do stowarzyszenia braterskiego (ludowego) była następująca: kandydat wypełniał kwestionariusz danymi personalnymi i jeśli uzyskał 4/5 głosów członków uczestniczących w zebraniu ogólnym, był ogłaszany za przyjętego i składał przepisaną przysięgę obywatelską. Do stowarzyszeń braterskich należeli w większości obywatele bierni, to też z tego względu składki członkowskie były niskie. Stowarzyszenia miały charakter kuźnic rewolucyjnych, nic zatem dziwnego, że zaniepokoiły Konstytuantę, która poleciła Komitetowi Śledczemu rozciągnąć nad nimi nadzór policyjny. W obronie stowarzyszeń ludowych występowały stale demokratyczne pisma paryskie jak „Révolutions de Paris", Proudhomme'a i „L'Ami du Peuple" J. P Marata. Marat zamierzał uczynić ze stowarzyszeń ludowych nie tylko ośrodki wychowania politycznego, lecz przede wszystkim narzędzie

nacisku na Konstytuantę i przyszłe Zgromadzenie Narodowe oraz użyć do zwalczania wrogów Rewolucji i przerostów administracji. Całe życie Francji podczas Rewolucji winno według Marata znajdować się pod stałą kontrolą stowarzyszeń ludowych. Za zachętą Marata podjął republikanin Robert usilne zabiegi celem powołania do życia Centralnego Komitetu Porozumiewawczego stowarzyszeń ludowych, zakończone tylko częściowym powodzeniem, wobec przeszkód, stawianych przez zazdrosnych o swe wpływy na masy: Jakobinów, Kordelierów i Komuny Paryskiej. (maj 1791).

Robotnicy i rzemieślnicy tworzyli na wzór stowarzyszeń ludowych t. zw. unie braterskie. Nie miały one jednakże charakteru cechowego lecz społeczno-polityczny. Poziom obrad stowarzyszeń ludowych i unij braterskich był niski, język uliczny, protokóły posiedzeń pełne błędów gramatycznych i ortograficznych. Ale pod tą zewnętrzną powłoką prostoty i nieuctwa biły serca pełne uczuć najszlachetniejszych, całkowicie sprawie rewolucyjnej oddane. „Moje wykształcenie jest słabe — mówił ślusarz Girard — lecz za to uczucie czyste takie, jakim obdarzyła mię natura, to też mam nadzieje, że skorzystam z waszych światłych rad, jeśli przyjmiecie mnie do waszego stowarzyszenia". (Isabelle Bourdin: Les Sociétés populaires á Paris pendant la Révolution, Paris 1937 str. 134).

Nazwy stowarzyszeń braterskich były różne: „Biedacy", „Wrogowie despotyzmu" „Hale"; „Gobeliny"; „Przyjaciele Wolności, Równości i Ludzkości" itp. Powstało także stowarzyszenie kobiece pod nazwą „Obywatelki Patriotki, Przyjaciółki Prawdy", mieszczące się przy masońskim „Cercle Social" Fauchet'a i Bonneville'a, a kierowane przez zapaloną feministkę Holenderkę Etę Palm.

Centralnym organem rozkazodawczym stał się rychło dla stowarzyszeń i unij braterskich Klub Przyjaciół Konstytucji, zwany pospolicie Klubem Jakobinów od swej siedziby (klasztoru św. Jakuba) przy ulicy Saint-Honoré. Powstał z Klubu Bretońskiego, który kierował walką deputowanych stanu trzecie-

Marat (portret Geredon'a)

go z przedstawicielami stanów uprzywilejowanych podczas słynnego zatargu o sposób obradowania po otwarciu Stanów Generalnych w Wersalu w r. 1789. Klub Jakobinów miał początkowo charakter klubu parlamentarnego, lecz w miarę rozwoju wydarzeń rewolucyjnych przyjmował do swego grona tak że osoby z poza Konstytuanty: postępowych polityków, naukowców, artystów, literatów, dziennikarzy i t. p. Pierwszym przewodniczącym Klubu po opracowaniu regulaminu (1790) był Menou, sekretarzami: Target, Barnave, Aleksander Lameth, Chapelier, A. Duport — słowem lewica patriotyczna w Konstytuancie. Klub miał wydziały: korespondencyjny, balotujący, administracyjny, sprawozdawczy i wywiadowczy. Polityką Klubu kierowała w tajemnicy przed resztą członków grupka 10 osób t. z. S a b b a t, utrzymująca łączność z wojskiem dla celów agitacyjnych. Klub miał na prowincji swoje kluby afiliowane, utrzymujące łączność z centralą paryską za pomocą specjalnych wysłanników. Taka organizacja zapewniała Klubowi Jakobinów szeroki wpływ na masy rewolucyjne w stolicy i na prowincji, czyniąc zeń najważniejszy ośrodek życia politycznego we Francji podczas Rewolucji. Klub Jakobinów nie przejawiał stałego kierunku politycznego, był on raczej trybuną, zajmowaną kolejno przez zmieniające się opinie i partie, kierujące Rewolucją i odzwierciadlał zmienność nastrojów publicznych: monarchicznych, kiedy Francja była monarchią konstytucyjną; republikańskich — po utworzeniu republiki; robespierrystycznych za dyktatury Robespierre'a (Aulard).

Klub Jakobinów rejestrował u siebie każde stowarzyszenie ludowe, udzielał swego upoważnienia na jego działalność w stolicy, przyjmując jednocześnie najwybitniejszych działaczy ludowych na swych członków. Delegaci Jakobinów kontrolowali obrady stowarzyszeń braterskich, co wywoływało często wzajemne nieporozumienia. Klub Jakobinów stanowił bowiem główną bazę burżuazji i postępowego obozu szlacheckiego, kiedy w stowarzyszeniach ludowych gromadzili się drobni posiadacze, robotnicy, bezrobotni — słowem proletariusze miejscy w przeważnym wypadku pochodzenia chłopskiego. W miarę jak radykalizowały się nastroje w stowarzyszeniach ludowych, rozdźwięk między nimi i Klubem Jakobinów stawał się coraz większy.

Lud na ulicach Paryża w dniach 12 i 13 lipca 1789 r. (sztych Duplessis-Berteaux'a)

O wiele serdeczniejsze węzły przyjaźni i współpracy łączyły stowarzyszenia braterskie z najbliższym im ideowo Klubem Praw Człowieka i Obywatela, zwanym pospolicie od swej siedziby Klubem Kordelierów. Miał on jednakże charakter klubu dzielnicowego o wyraźnym obliczu ludowym. Z jego szeregów wyszli: Marat, Danton, Desmoulins, Momoro, Dufour, Santerre, Rossignol, Robert, Chaumette, Łazowski, Carrier, Fouché, Collot d'Herbois i wielu innych wybitnych rewolucjonistów. U Kordelierów gromadzili się drobni kupcy, rzemieślnicy, artyści, literaci, niżsi urzędnicy sądowi, drukarze, przekupnie, bezrobotni — słowem przeważnie „obywatele bierni". W przeciwieństwie do Jakobinów, Kordelierzy przejawiali od samego początku Rewolucji dążności demokratyczne i republikańskie. Dzielem Kordelierów były wszystkie masówki sankiulockie przeciw monarchii, oni pierwsi płacili trybut za przekonania republikańskie na Polu Marsowym w dniu 17 lipca 1791 roku, mordowani kartaczami i ogniem karabinowym przez gwardzistów burżuazyjnych Lafayette'a; Kordelierzy pierwsi wprowadzili hasło „Wolność, Równość, Braterstwo"; przyjęli czerwoną czapkę galericzą za symbol wolności, a czerwony sztandar—znak prawa wojennego — za symbol męczeństwa ludu, uciskanego przez sługusów monarchii. Kordelierzy wreszcie użyli pierwsi stowarzyszeń ludowych do walki z tronem o republikę.

Pacyfikacja po rzezi na Polu Marsowym, zaprowadzona przez Konstytuantę i lafayettowską Komunę Paryską środkami policyjnymi, odbiła się ujemnie na rozwoju stowarzyszeń ludowych; ich rozrost został chwilowo zahamowany. Stan ten uległ zmianie w roku 1792 w związku z wojną i falą drożyzny, jaka nawiedziła Paryż. Stowarzyszenia ludowe i Komitety Rewolucyjne sekcyj stały się wówczas potęgą, od której zawisło zwycięstwo Rewolucji. O kierownictwo nad nimi stoczyły bój dwa najsilniejsze obozy rewolucyjne: Żyronda i Góra. Kto miał za sobą sekcje i stowarzyszenia ludowe paryskie, ten kierował Rewolucją, rządził w zmieniających się Zgromadzeniach Narodowych i we Francji.

INNE OŚRODKI PROPAGANDY REWOLUCYJNEJ I KONTRREWOLUCYJNEJ W PARYŻU W L. 1789 — 94.

Akademia francuska była kontrrewolucyjna; Lyceum pani Villette zbyt ekskluzywne, tylko dla wybranych z pośród arystokracji krwi i pieniądza, był to właściwie nie przybytek nauki lecz ośrodek rozrywkowy dla pań i panów.

Salony: Neckera, pani Staël, masona Holbacha, książąt Larochefoucauldów, a nawet pani Roland — przytulały tylko utytułowanych, dlatego nie wzbudzały zaufania u ludu paryskiego. Były one przez ten plebs, nazywany pogardliwie przez salonowców „kanalią", znienawidzone i podejrzane o knowania kontrrewolucyjne. W Rewolucji odegrały rolę znikomą. Życie polityczne zogniskowało się bowiem w klubach, sekcjach i stowarzyszeniach ludowych. Opinię publiczną urabiały nie salony i „cercle towarzyskie", lecz wspaniale rozwinięta prasa różnych odcieni ideowych.

Poważniejszą rolę od salonów w kształtowaniu opinii społeczeństwa odegrał teatr, wystawiając sztuki o motywach starożytnego demokratyzmu i republikanizmu. (Woltera — „Brutus") Loże i pierwsze miejsca w teatrach były monarchistyczne, galeria republikańska.

Kluby kontrrewolucyjne jak Klub de l'Hôtel de Massiac (skrajnie monarchistyczny), Klub Przyjaciół Konstytucji Monarchistycznej Clermont-Tonnere'a zajmowały się zjednywaniem sankiulotów paryskich przez rozdawnictwo chleba po zniżonych cenach, co wywołało ostry sprzeciw ze strony Jakobinów i kluby uległy rozwiązaniu. Inny Klub Sfederowanych 1790 roku był emanacją wojskowej arystokracji, nastrojonej monarchistycznie á la Lafayette i Bailly, oddanej Ludwikowi XVI. Został on rozwiązany pod naciskiem sekcyj paryskich już w grudniu 1790 roku. Klub 1789 r., inaczej zwany P r o p a g a n d ą, korzeniami tkwił w środowisku Larochefoucauldów i masonerii przedrewolucyjnej. Powstał jako protest przeciw majoryzacji, uprawianej przez braci Lamethów u Jakobinów. Założyli go: Lafayette, Bailly, Mirabeau, Dupont de Nemours, Le Chapelier, Talleyrand, Sieyès, Mazzei i kilku innych. W roku 1790 figurowali na liście członków Klubu: Barère, Brissot, A. Chenier, Broglie, Dawid, B. Franklin, Maksymilian Łazowski, Ruhliere, Chamfort, Marmontel, Clavière. Byli to w tym czasie ludzie Lafayette'a i Bailly'ego. Żywotność polityczna Klubu 1789 r., była krótka i nie wywarła większego wpływu na bieg wypadków rewolucyjnych. Dominowały w Klubie nastroje monarchiczno-konstytucyjne. Wielu polskich arystokratów znalazło w Klubie 1789 r. gościnne, choć bardzo kosztowne przyjęcie, gdyż opłaty członkowskie były znaczne, a działalność klubowców ograniczała się przeważnie do wystawnych przyjęć, (bankietów). Bankiety klubowe znalazły niemiły oddźwięk w masach paryskich. W końcu 1790 roku większość klubowców z Condorcetem, widząc, że Klub zamiera powoli, wróciła do Jakobinów. (Challamele: Les clubs contrerèvolutionnaires. Paris 1895, str. 391—443).

Polacy w Paryżu w latach 1787—94. Paryż przyciągał polskich podróżników, przeważnie pochodzenia arystokratycznego, urokiem zabaw, salonów, mody; rzadziej naukami, sztuką, lub rzemiosłem. Dla Polaków był Paris|us przede wszystkim Paradisus (rajem). Głównym punktem zbornym Polonii paryskiej był Palais Royal, gdzie zamieszkiwał były arbiter elegantiarum, towarzysz uciech petersburskich Stanisława Augusta, exmarszałek nadworny Franciszek Michał Rzewuski. Pod numerem 145 w Palais Royal mieścił się Klub Polski, którego patronem był Rzewuski. Była to zwykła nora szulerska, pełna zawsze polskich i obcych obieżyświatów, którzy tu trwonili tysiącami dukaty, zaciągali pożyczki i szli na pokutę do Fort l'Evêque, więzienia za długi. Dokuczał szczególnie młodym arystokratycznym latoroślom bankier warszawski Tepper, który potajemnie przesyłał do Paryża ich wekselki do protestu, aby paniczów w rodzaju Kazimierza Nestora Sapiehy, Kajetana Potockiego, Tadeusza Mostowskiego i wielu innych uczyć na paryskim bruku żalu za grzechy i rozrzutność.

Oprócz złotej polskiej młodzieży można było spotkać nad Sekwaną w dobie przed i rewolucyjnej byłych barżan (J. Miączyński), szukających schronienia i kawałka chleba na gościnnej ziemi francuskiej. Ci nieszczęśliwcy losu prowadzili się bez rozgłosu i ujmy dla imienia polskiego. Nie można tego powiedzić o wielkich damach polskich: marszałkowej Elżbiecie Lubomirskiej, kilku jej kuzynkach jak Rozalia z Chodkiewiczów Lubomirska i Teofilowa Lubomirska, oraz córkach: Aleksandrze Potockiej i Konstancji Rzewuskiej, żonie hetmana polnego koronnego Seweryna; nie pozostawały w tyle pod względem obyczaju i rozrzutności: Izabella z Flemmingów Czartoryska i Teresa Tyszkiewiczowa, bratanica Stanisława Augusta. Pełno wokół tych dam wielkopańskich różnych awanturników, oszustów, lub pospolitych złodziei. Nawet elegancki Paryż, przyzwyczajony do skandalów, miał o tych paniach jak najlichszą opinię.

Oprócz rozrzutnych i bezmyślnych wojażerów z dalekiej Polski oglądał Paryż rewolucyjny także naszych mężów stanu, którzy przybiegli nad Sekwanę, aby knuć intrygi przeciw Stanisławowi Augustowi, patriotom Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3-go ma-

Chorąży święta obywatelskiego w stroju sankiuota (obraz Poilly'ego)

ja, kryjąc w zanadrzu zbrodnię targowicką jak: Seweryn Rzewuski i Szczęsny Potocki. Zajrzał także cichaczem do stolicy Francji prymas Michał Poniatowski jakby na przeszpiegi; siedzieli z polecenia króla jako tajni jego agenci paryscy: Jan Komarzewski i Piotr Maliszewski. Szukali w Paryżu pola do działania, węsząc i intrygując w klubach rewolucyjnych: Jan Potocki z żoną Julią, Tadeusz Morski w przejeździe do Madrytu, Jan Ubielski, Tadeusz Mostowski i jego sympatia Rozalia Lubomirska. Nadbiegli po Targowicy: Wojciech Turski, Kazimierz Laroche, Tadeusz Kościuszko, Barss, po ratunek dla ginącej Polski.

Mimo faktu, że przejściowo znajdowały się wśród Polonii nadsekwańskiej osoby zacne i sprawie wolności szczerze oddane, Paryż rewolucyjny miał lichą opinię o Polakach. Robespierre w dobie terroru uważał ich za agentów koalicji antyfrancuskiej, knujących kontrrewolucję do spółki z Żyrondą, emigrantami i klerem. Z jego polecenia Komitety Ocalenia Publicznego i Bezpieczeństwa Powszechnego proskrybowały Miączyńskiego, Ubielskiego, Rozalię Lubomirską, skazując ich na ścięcie pod gilotyną w latach 1793—4, (maj—lipiec). Z pośród licznej i barwnej rzeszy Polaków na czoło Rewolucji jako przywódca Sankiulotów paryskich wybił się Klaudjusz Franciszek Łazowski. Miał on słabe kontakty z Polonią paryską; czuł się wśród rodaków nieswojo, raził go ich obyczaj i rozrzutność, żądza użycia i kompletna wśród wielu z nich bezideowość. Przyjaźń łączyła go tylko z Józefem Miączyńskim, z którym zdobywał wspólnie Bastylię, symbol despotyzmu. Łazowski, syn kucharza Polaka-emigranta na dworze Leszczyńskiego w Luneville'u, wychowany starannie w duchu Encyklopedji i w atmosferze liberalno-masońskich salonów książąt Larochefoucauldów, na Saint-Germain, stał się głośnym przywódcą robotniczych przedmieść paryskich Saint-Marcel i Saint-Antoine podczas najścia na Tuilleries w czerwcu i sierpniu 1792 r. i w czasie rozruchów marcowych 1793 r.

Witold Łukaszewicz

Uroczyste posiedzenie w Klubie Jakobinów (1792) (rycina franc. z końca XVIII w.)

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Przebudowa życia kulturalnego*)

SPRAWĄ, która bezsprzecznie wysuwa się w naszym życiu coraz bardziej na czoło, jest przebudowa naszego kulturalnego, intelektualnego życia. Nie tylko o oświatę idzie, idzie o coś więcej.

Staje przed nami, jako kolejne zadanie, zniesienie tych barier, jakie myśleniu ludzkiemu, wewnętrznemu życiu człowieka i klas społecznych położył miniony ustrój, okres nie tylko niesprzyjający kształtowaniu najgłębszych ludzkich wartości, lecz barbarzyńsko niszczący i okaleczający je.

Stoi sprawa, jak często się ją nazywa, odbudowy człowieka. Tylko, że my owego człowieka rozumiemy konkretnie. To nie jest dla nas mityczny, ani mistyczny stwór. Ten człowiek kształtuje się już dzisiaj w naszych kopalniach i hutach, za biurkiem planującego inżyniera, kształtuje się człowiek organizujący nowe życie wsi, idzie o pogłębienie jego świadomości. Aby to, co myśli odpowiadało wielkości tego, co robi. Mówiąc słowami znanej przypowieści, idzie o człowieka, który nie tylko będzie wiedział, że ciosa kamień, ale będzie miał świadomość, że buduje wspaniały gmach.

Aby przyspieszyć kształtowanie tego nowego człowieka, musimy wprząc do tej pracy wszystkie środki, służące wychowaniu. Służyć temu musi szkoła, książka, sztuka.

Wiemy, że jesteśmy krajem, który ma do odrobienia wielkie zaległości i dlatego musimy się spieszyć, musimy nadrobić nasze zacofanie, aby nadążyć za historią. Przewroty w świadomości człowieka zachodzą wolno, znacznie wolniej, niż w dziedzinie społecznego życia.

Wrogie postępowi społecznemu siły chwytały się zawsze za pozostałości i nawyki myślowe, aby je wykorzystywać dla swoich celów.

Zadaniem, stojącym przed nami, jest usunąć z naszego życia te resztki obcej dniu dzisiejszemu przeszłości, za które ukryć się zechcą i ukrywają siły wrogie demokracji, wrogie temu, co w ciężkim mozole kształtuje dziś naród polski.

W pierwszym rzędzie przebudować musimy do końca szkołę polską. Pominę tu jako zagadnienie w tej debacie zbyt specjalne sprawę reformy szkolnej, dróg i metod jej realizacji, sposoby przekształcenia treści wychowawczej szkoły.

Pominę również kapitalną sprawę tych momentów polityki oświatowej, które obalić winny resztę zapór, stojących przed dziećmi robotniczymi i chłopskimi na ich drodze do średnich i wyższych szkół, to znaczy, sprawę środków prowadzących do osiągnięcia właściwego składu socjalnego młodzieży tych szkół.

Osiągnięcia nasze w dziedzinie szkolnictwa są wielkie. Potwierdziły to cyfry, przytoczone przez ob. Premiera. Cyfry te znamionują poważny zwrot, który osiągnięty został dzięki trzem czynnikom.

Pierwszy, to przebudowa ustrojowa Polski, która wyzwoliła niesłychany pęd do nauki, która zniosła najważniejsze (acz jeszcze nie wszystkie) przegrody zamykające masom ludowym dostęp do nauki. Odbudowywało się szkolnictwo, ponieważ zaistniała wielka społeczna potrzeba, zaistniały warunki ustrojowe, w których jedyną przeszkodą na drodze pełnego upowszechnienia oświaty były zniszczenie i ubóstwo dźwigającego się z ruin kraju.

Drugim czynnikiem była polityka rządu, który w miarę możliwości, a niekiedy i ponad możliwość, finansował potrzeby szkolnictwa. Cyfrowe rezultaty: wzrost ilości szkół, szkół wyższych, ilości katedr są tego widomym dowodem.

Trzecim wreszcie czynnikiem — to trzeba mocno podkreślić, — była ofiarna praca naszych kadr nauczycielskich i profesorskich. W warunkach ciężkich, kiedy brakło wszystkiego (szkoły bez dachów i okien zimą, bez ławek, bez książek) źle opłacany nauczyciel i profesor stawał do pracy, wypełniając społeczny obowiązek.

Podkreśliliśmy osiągnięcia w dziedzinie szkolnictwa, osiągnięcia często niedocenione.

Tym łatwiej nam przyjdzie wskazać na braki, na te dziedziny, które muszą zmobilizować uwagę społeczeństwa i wysiłki władz oświatowych.

Dziedzinę, w której pozostajemy w tyle jest przekształcenie treści wychowawczej w duchu demokratycznym, jest związanie szkoły z Polską dzisiejszą, Polską demokracji ludowej.

Nie jest to zadanie sztucznie przez kogoś wymyślone i narzucone szkole, jest to zadanie, jakie przed szkołą stawia historia. Każdy rozsądnie myślący człowiek musi stwierdzić, iż szkoła nie może istnieć poza społeczną i narodową rzeczywistością, musi czerpać pokarm duchowy, wychowawczy z tych wielkich problemów, jakie stoją przed narodem.

Nie jest prawdą, że my chcemy wprowadzić politykę do szkoły. Ale prawdą jest, że chcemy, aby młodzież nasza wyrosła na świadomych obywateli, aby kształciła się świadoma ogromnych zadań, jakie przed nią stoją, aby rozumiała drogę, jaką przebył i jaką dziś kroczy naród polski.

Chcemy, aby kształciła patriotów, kochających swój kraj. A nie ma i być nie może patriotyzmu poza miłością do kształcącej się dziś w ciężkim trudzie odrodzonej Polski.

Szkoła, która nie wszczepi tego pozytywnego ideału (a wychowywać można tylko na ideale pozytywnym) wychowywać będzie kaleki, moralnych inwalidów.

Przed szkołą stoi zadanie przemiany, przebudowy ideału wychowawczego — to rozumiemy pod terminem demokratyzacji szkoły.

Zadanie to wykonać musi nasze nauczycielstwo.

Czy my uważamy (co zarzuca nam się niekiedy), że nauczycielstwo polskie jest reakcyjne?

Odpowiadamy kategorycznie nie. Nauczycielstwo polskie nie jest reakcyjne. My wiemy, że nauczyciel polski ma piękne tradycje demokratyczne. Znamy historię walki, jaką prowadził nauczyciel polski o podtrzymanie narodowego ducha w okresie rozbiorów, pamiętamy dzieje walk z cisnącym się do szkół faszyzmem, pamiętamy historię podziemnego szkolnictwa okresu okupacji, pamiętamy ofiarną pracę w pierwszym okresie wyzwolenia. Nauczyciel polski był szermierzem postępowych idei, walczył o demokratyzację oświaty i kultury, walczył o demokrację.

Czy jednak są dziś między nauczycielstwem ludzie nierozumiejący (często nie chcący rozumieć) dzisiejszej demokratyczno - ludowej Polski?

Niewątpliwie są. Wiemy, że i przeszłość nauczycielstwa nie była bynajmniej jednolita. Że często postępowa część zbierała te laury, w które dziś przystrajać się pragną i ci, co chcieliby je wykorzystać przeciwko postępowi. Wiemy, że chlubne tradycje ZNP nie są bynajmniej tradycjami całego nauczycielstwa. Ale to nie jest ważne — ważne jest to, aby te dobre tradycje zostały zachowane, aby zwyciężył dziś i zwyciężył ostatecznie postępowy demokratyczny nurt.

Nauczyciel ze swej funkcji społecznej jest i być musi szermierzem postępu, twórcą nowych wartości. Nauczyciel ze swego miejsca w społeczeństwie jest i być musi najbliżej związany z masami ludowymi, musi być tłumaczem ich przyszłości.

Nauczyciel, który tego nie będzie wypełniał, będzie złym nauczycielem, złym wychowawcą; nauczyciel, który będzie się przeciwstawiał tym zadaniom, musi i powinien być usunięty. I to nie jest polityka. To walka o zdrowie moralne narodu.

Tak rozumiemy zadania szkoły i nauczyciela, tak rozumiemy zadania demokratyzacji.

To wielkie zadanie odbudowy roli wychowawczej szkoły, uczynienie z niej potężnego narzędzia kształtowania przyszłości narodu muszą wykonać władze oświatowe wspólnie z armią nauczycielską. Harmonijna współpraca i zgodność wytyczonego celu jest warunkiem powodzenia. Dodajmy tu otwarcie, że zarzuty z powodu atmosfery w szkołach, powolności procesu zmiany tej atmosfery, nie zawsze obciążają tylko nauczyciela. Często władze oświatowe nie przychodziły w dostatecznej mierze z pomocą, niedostatecznie uzbrajały nauczyciela w podręczniki, pomoce, które by ułatwiły i przyśpieszyły ten proces.

Do pracy tej musi stanąć zawodowa organizacja nauczycielska ZNP. Cenimy tradycje ZNP, są one nierozerwalną częścią tradycji demokracji polskiej.

W szeregach naszej partii, w szeregach innych partii demokratycznych widzimy poważną grupę działaczy, których walka i wysiłek organizacyjny stworzyły tradycje ZNP.

My, obóz demokracji ludowej, jesteśmy prawdziwymi spadkobiercami tej tradycji. ZNP jednak od chwili wyzwolenia dostał się pod wpływy obce, nic, albo niewiele mające z tymi tradycjami wspólnego. Stąd jego bierność, stąd jego obcość. ZNP nie włączył się do wielkiej pracy, nie ujawnił żadnej aktywności, często był terenem antydemokratycznych tendencji, wyrządzając nauczycielom, ich interesom niepowetowane straty.

Ten stan rzeczy musi ulec zmianie. ZNP musi znowu stać się organizacją, godną swej demokratycznej tradycji.

Niesłuszne są przejawiające się niekiedy próby pomijania, negowania ZNP, wykluczania go z tych zadań, jakie stoją przed szkolnictwem. Takie tendencje byłyby szkodliwe. Należy pomóc nauczycielom w uzdrowieniu ZNP, należy wlać weń nowe życie, aby ZNP stał się znowu jedną z czołowych organizacji polskiej inteligencji, skupił olbrzymi potencjał 100-tysięcznej armii nauczycielskiej, wprzągniętej w służbę postępu, w dzieło budowania nowej Polski. A to przecież jest ideałem i posłannictwem każdego człowieka, który nosi szczytne miano nauczyciela.

I wreszcie sprawa szkolnictwa wyższego. I tutaj jakże często świadoma tendencja potrafi wypaczać, przekręcać i fałszować zamierzenia Rządu w tej dziedzinie.

Stwierdźmy na wstępie: Uważamy naszą kadrę profesorską za bezcenny skarb narodowy, tak silnie uszczuplony w okresie wojny i okupacji.

Stwierdźmy po drugie, że klasa robotnicza i masy chłopskie, które dziś ujęły w ręce władzę, podjęły się historycznego zadania odbudowy i rozbudowy Polski, nie mogłyby wykonać tego zadania bez udziału nauki i naukowców, bez udziału tych, w rękach których spoczywa najpotężniejszy oręż naszych czasów.

Stwierdźmy po trzecie, że naukowcy nasi, że profesorowie szkół wyższych stanęli do ciężkiej pracy, nie bacząc na to, że odrodzona Polska nie była w stanie opłacić ich trudu, nie mogła zapewnić utrzymania, a często i dachu nad głową.

Dziś już olbrzymia większość naukowców, po doświadczeniach stagnacji i bezwyjściowości okresu międzywojennego, po straszliwych doświadczeniach, czym jest faszyzm, ta nagroźniejsza forma reakcji — że już większość naukowców rozumie lub wyczuwa, że jedynie demokracja, pełna i konsekwentna demokracja (a taką jest demokracja ludowa), może zapewnić nauce czołowe miejsce w życiu narodu, otworzyć jej drogi pełnego nieskrępowanego rozwoju.

Ale z drugiej strony stwierdzić musimy, że w nauce naszej i wyższym szkolnictwie istnieje jeszcze bardzo wiele nawyków wykształconych w minionej epoce i do tej epoki dostosowanych, istnieje wiele przesądów, które w tej lub innej formie zostały nauce narzucone. Takie stwierdzenie nie godzi w żadną z naukowych tez, nie podważa żadnego naukowego twierdzenia. Godzi ono w to, co stanowi narośl na nauce, jako obca dzisiejszej rzeczywistości klasowa treść, odpowiadająca interesom panujących do niedawna klas, narzucona nauce często w sposób bardzo brutalny.

To właśnie, ten obcy nauce element, szkodliwy dla samej nauki i jej rozwoju, musi ulec rewizji, musi zostać z naszych szkół wyższych usunięty.

Prawo obywatelstwa muszą uzyskać te teorie i te metody badawcze, które odrzucane i potępiane były nie z powodów naukowych, lecz właśnie pozanaukowych, politycznych i społecznych. Chcemy, aby teoria i metoda marksistowska miała pełne prawo obywatelstwa na naszych uniwersytetach — to nie znaczy, że chcemy przemocą przerabiać naszych profesorów na marksistów.

Na zachodzie (nie tylko w ZSRR), we Francji i Anglii, nawet w Ameryce najwybitniejsi naukowcy otwarcie szukają w marksizmie pomocy w badaniu i tłumaczeniu zjawisk. Czemu przypisać ten paradoks, że u nas największymi przeciwnikami marksizmu są ci, którzy najbardziej są w ten zachód wpatrzeni. Wytłumaczenie jest jedno — że nie w naukę zachodnią są oni zapatrzeni, lecz w coś, co z nauką nie ma nic wspólnego.

Drugą dziedziną, w której odzwierciadla się stara miniona epoka (ściślej stare minione epoki), jest ustrój i organizacja szkolnictwa wyższego.

Tak, jak nowe zadania, stojące przed naszym państwem, spowodować musiały zmianę ustroju politycznego, gospodarczego, jak konieczna jest reforma szkolna — tak samo konieczna i nieunikniona jest zmiana ustroju i organizacji szkół wyższych. Nie dlatego, że tak się komuś podobało, a dlatego, że bez tego warunku szkoły nie będą w stanie wypełnić stojącego przed nimi zadania. Rozwój wyższego szkolnictwa i nowe wynikające z nowych warunków zadania przekroczyły, przelały się przez stare formy. Trzeba je dopasować, aby nie były hamulcem i kulą u nogi.

Nie będę omawiał tu projektów reformy — sprawy te poruszane były wielokrotnie w publicznych dyskusjach, charakteryzowane były również i tu przed Wysoką Izbą.

Jedno jest pewne. Reforma ustroju szkół wyższych nie może ograniczać swobody badań naukowych. I jeszcze jeden ważny warunek: profesura nie może być pozbawiona decydującego wpływu na te wszystkie sprawy, które wiążą się z organizacją nauki i nauczania w ramach uczelni, na niej musi spoczywać troska o poziom i rzetelność nauki.

Z tej trybuny padły kłamliwe oskarżenia o zamiarze odsunięcia profesorów od procesu habilitacyjnego. Sprostowano już te zarzuty, nie będę więc do tej sprawy powracał.

Pewne jest, że nowy ustrój szkół wyższych musi być lepszy od starego, musi stwarzać szersze ramy rozwoju nauki, rozwoju szkolnictwa, związanego nierozerwalnie z zadaniami gospodarczej i kulturalnej odbudowy kraju.

Nowa ustawa musi stworzyć ramy i warunki szerokiego planowania w dziedzinie twórczości naukowej, musi silniej zobowiązać państwo do popierania badań naukowych i troski o nasze kadry naukowe. Stworzenie naszym uczonym warunków, w których będą mogli oddać się całkowicie pracy naukowej, jest elementarną i wstępną koniecznością.

Wysoka Izbo! W uroczej komedii „Wiele hałasu o nic" powiedział Szekspir, że umiejętność czytania i pisania otrzymuje człowiek jako dar natury. Jest w tym głęboka prawda.

Natura ukształtowała człowieka do pełni życia umysłowego i kulturalnego. Dopiero ustrój społeczny, oparty na panowaniu mniejszości nad większością, skazał na niewolniczy bydlęcy żywot masy pracujące. Z umiejętności czytania i pisania uczynił przywilej dla nielicznych.

Dziś chcemy przywrócić masom ludzkości to, co otrzymała ona od natury—prawo do pełnego umysłowego i kulturalnego życia, prawo do kultury, zgodnej duchem i treścią z życiem i wielkim dziełem, dokonywanym dziś przez masy ludowe.

Władysław Bieńkowski

---

*) Fragment przemówienia podczas ostatniej sesji Sejmu.

Już ukazał się w sprzedaży pierwszy numer studenckiego pisma społeczno-literackiego

„PO PROSTU".

Pismo nawiązuje do tradycji przedwojennej grupy wileńskiej.

PAWEŁ HERTZ

ODWIEDZINY U PROUSTA

WIELE mówi się o snobiźmie Prousta. To nieprawda. Proust nie był snobem. Relacje światowe, między innymi zaś długoletnia i obfitująca w przykre dla Prousta momenty przyjaźń z Robertem de Montesquiou, miały na celu coś zupełnie innego niż zaspokojenie próżności. Nawet światowe kroniki w „Figaro", które Proust pisywał przez czas dłuższy, a które zostały potem wydane oddzielnie, już po ukazaniu się „Czasu Utraconego" („Chroniques" Nrf) były nie tylko sprawozdaniami z wielkiego świata, ale przede wszystkim przygotowaniem do opisu przyjęcia u Guermantes'ów. Przyjęcie to trwa zaledwie jedno popołudnie, lecz zajmuje kilkaset stronic druku.

Ogromna ciekawość szczegółów i drobiazgów, dotyczących nietylko ludzi i ich wzajemnych relacji, lecz szczegółów stroju, przedmiotów, architektury etc. mogła wydawać się przyjaciołom Prousta nonsensem i próżnością tak długo, póki nie ukazały się jego książki, w których opis kapelusza Odetty lub czerwonych, balowych pantofli Oriany de Guermantes zajmuje tyleż miejsca, co rozważania na temat wojny 1914 — 18 roku. Przedmioty bowiem i stroje są dla Prousta tylko pretekstem, pod nimi, poprzez nie przepływa czas, który je niszczy, maceruje i zmienia. To co ostaje się tej strasznej pracy czasu, to muzyka Vinteuila, obrazy Elstira, frazy Bergotte'a. Czas nietylko ich nie niszczy, ale nadaje im jakąś ogromną prespektywę.

Życie światowe Prousta od dwudziestego roku życia toczyło się w salonach Faubourg Saint Germain. U księżniczki Matyldy poznaje Proust ostatnich bohaterów Drugiego Cesarstwa, u księżnej de Polignac spotyka hrabinę Greffuhle, jedną z najbardziej czarujących kobiet ówczesnego Paryża, u Madeleine Lemaire, wielkiej malarki róż, spotyka Mouneta-Sully, Masseneta, Saint-Saensa, Rejane i Coquelina. W salonach wielkomieszczańskich, u pani Aubernon, która jest jednym z wielu prototypów pani Verdurin, styka się Proust z radykalnymi politykami i ze środowiskiem zawodowych literatów. Sam bowiem jest jeszcze ciągle, mimo debiutu, uważany za dyletanta. U pani Armand de Caillavet widuje Anatole'a France'a, u pani Straus, która była żoną Bizeta, twórcy „Carmen", poznaje wielu innych, wybitnych pisarzy.

Te salony i postaci, które Proust widywał tam codziennie, są ogromnym materiałem jego wielkiej powieści. Metoda odnajdywania klucza do dzieła literackiego jest zwykle zawodna i ostatecznie niewiele nas już dzisiaj obchodzi, kto służył jako wzór postaci pana de Charlus, Roberta Saint-Loup, Odetty de Crecy, Oriany de Guermantes, pani Verdurin i setki innych osób, które wypełniają świat dzieła Marcelego Prousta. Mówię: „świat" — gdyż w istocie cykl „W poszukiwaniu straconego czasu" jest modelem świata, jakgdyby ktoś przez odwróconą lunetę spoglądał na naszą ziemię w latach 1890 — 1918, dostrzegając tylko salony Faubourg Saint-Germain z jednej strony, zaś z drugiej — salony mieszczańskie. Świat to niepełny i wąski, ale zato opisany tak dokładnie, jak nigdy jeszcze dotąd w żadnej innej powieści. Skoro jednak klucz taki istnieje i to ustalony nawet dość dokładnie, nie widzę powodu, by przyszły polski czytelnik dzieła Prousta nie był w nim zorientowany tak dobrze, jak jest zorientowany czytelnik francuski czy angielski. Proustologia w tych krajach stoi na wysokim poziomie i wystarczy wyszukać ogromną literaturę o Prouście i jego dziele, by po kilku tygodniach lektury poruszać się w tym strasznym, choć uroczym z pozoru świecie, z taką samą swobodą z jaką poruszamy się w świecie plotki „Wesela". Nieodżałowany Boy potrafiłby nas zbliżyć do Prousta o wiele lepiej niż to czynię, tłumacząc kilka fragmentów z książek o Prouście i kompilując jego korespondencję. Gdyby artykuły Boya o „Czasie utraconym" zyskały tę popularność, co przedmowy do innych klasyków francuskich lub „Znasz li ten kraj?" — książka, która zbliżyła nas do mało znanych postaci Młodej Polski — wówczas, być może, nie czytalibyśmy tylu ataków na tego pisarza, ile można wyczytać na szpaltach naszej prasy literackiej w okresie dwulecia. Dzieło Prousta, które nie jest mniej uspołecznione od „Spowiedzi dziecięcia wieku", stałoby się synonimem dokumentu epoki i w ten sposób przynajmniej uniknęłoby się wielu nieporozumień. Tak się jednak nie stało. Wojna przerwała pracę Boya — tłumacza i prace Boya — mędrca, który zawsze potrafił objaśnić nam urok i znaczenie francuskich książek. W „Wiadomościach Literackich" pojawiło się zaledwie kilka jego artykułów o Prouście. Pisarz ten jednak pozostał nadal mało znany.

Wróćmy jednak do naszego klucza. Kiedy niedawno przerzucałem kupione przypadkiem pamiętniki Arthura Meyera, redaktora „Gaulois", pisane po upadku II Cesarstwa, we fragmentach poświęconych salonom paryskim tego czasu, znalazłem wspomnienia o osobach, które żywo przypominają postaci Prousta. Nic dziwnego, młody Proust bywał bowiem w tych samych salonach i widywał te same osoby. Zamiast jednak błądzić na ślepo i cytować odpowiednie fragmenty z Meyera porównywując je z fragmentami Prousta, sięgnijmy lepiej do tak pewnego źródła, jakim jest monografia Quinta i wypiszmy stamtąd ów „klucz" pasjonujący w latach dwudziestych intelektualnych snobów Paryża.

Prototypem Odetty jest pani Laura Heyman „której elegancja i wdzięk miały posłużyć Proustowi do stworzenia kilku rysów twarzy Odetty de Crecy... Podobnie jak Odetta de Crecy, pani Heyman przyjmowała w swoich apartamentach przy ulicy Bassano ludzi z najlepszego towarzystwa, z których wielu należało jeszcze do poprzedniego pokolenia. Laura Heyman była w bliskich stosunkach ze słynnymi pisarzami. Paul Bourget napisał dla niej nowelę pod tytułem „Gladys Harvey"... Proust, który ją uwielbiał, lubił składać jej ukłony, gdy w czasie spaceru mijała go konno"...

Proust sam niejednokrotnie udzielał wyjaśnień w sprawie „klucza". W liście do Gabriela de Larochefoucauld czytamy:

> „...Rozdrażniony widokiem ludzi, którzy mówili mi: „Niech się pan nie broni: diuszesa de Guermantes, to jest pani G." (diuszesa de Guermantes, która jest podobna do wszystkich i do nikogo, to właśnie zupełne przeciwieństwo pani G.) napisałem w „Oeuvres Libres", że ludzie nie zdają sobie prawie sprawy z tego, czym jest twórczość. Nie wiedziałem — pisze dalej Proust — że pewna kobieta... rozpoznała swój portret w Odecie de Crecy, która jest zupełnym jej przeciwieństwem etc. Te głupie połączenia irytują mnie. Nieuniknione jest to, że pamięć poddaje nam jakiś rys, gdy malujemy postać zupełne inną. Diuk de Guermantes nie ma nic wspólnego ze zmarłym markizem de L., ale przypominając sobie markiza, opisałem jak diuk goli się przed oknem".

Tyle Proust. Quint nieustannie poddaje w wątpliwość wszystkie swoje „klucze" przypominając, że w gruncie rzeczy wszelkie wskazówki opierać się mogą wyłącznie na poszczególnych aspektach danej osoby. Jakkolwiek wątpliwe wydawać się mogą wszelkie „klucze", jeden jest zdaje się pewny. Robert de Montesquiou-Fezensac jako prototyp barona Charlusa. Robert Montesquiou, „hrabia Robert" jak go nazywano w owe lata w Paryżu, był ekscentrycznym arystokratą, obdarzonym wielkim, choć wąskim bardzo talentem poetyckim. Ogromna wirtuozeria formy stawia go dziś nawet jeszcze koło bardzo wybitnych poetów tego co i on typu. Montesquiou nie brał udziału w zawodowym życiu literackim, był dyletantem. W książkach pamiętnikarskich i wspomnieniowych z tego okresu, Montesquiou zajmuje poczesne miejsce. Jego słynne przyjęcia, połączone z występami znakomitych artystów, jego „Palais aux Roses", umeblowany rzadkimi i cennymi antykami i zapełniony świetnymi bibelotami i przedmiotami sztuki stwarzały mu opinię znawcy. Ile było snobizmu, ile znów prawdy w życiu i twórczości hrabiego Roberta de Montesquiou - Fezensac tego dziś dociekać nie warto. Zajmę się nim jedynie z uwagi na jego wieloletnią przyjaźń z Proustem, datującą się nieomal od roku 1893, a skończoną ze śmiercią Montesquiou, po której w niewiele miesięcy, w niespełna rok, umiera Proust.

Lektura korespondencji z pierwszych lat tej znajomości jest prawie żenująca. Tak wiele wiemy o Prouście, a tak niewiele mówi historia literatury o Robercie de Montesquiou, że ze zdumieniem odczytujemy naprzykład następujący list Prousta z roku 1895:

> Mój drogi Mistrzu,
> śpieszę napisać do Pana, żeby Panu powiedzieć o wierszach, które są w dzisiejszym porannym „Gaulois", a z których pięć ostatnich należy do najpiękniejszych z Pana wierszy, jakie są mi znane...

z 30 grudnia 95.

> „Dzięki tysiąckrotne, mój drogi Mistrzu, przyjdziemy obaj koło 9.15. lub 9.30. W redengocie, prawda? Z poważaniem, oddany Marcel Proust".

z roku 1893:

> „W tych dniach przerwałem lekturę „Chef des odeurs suaves" (tom wierszy Montesquiou — przyp. mój) aby czytać „Les Chauves-Souris" (tytuł tomu wierszy M. — przyp. mój), gdzie za każdym razem odnajduję nowe wdzięki i nowe głębie. Oddawna jestem pozbawiony trzeciego arcydzieła (być może najlepszego z pośród innych, a w każdym razie równego innym), jakim jest „rozmowa z panem" — rozmowa, której nieraz pragnąłbym być Eckermannem - wzruszonym, jeśli nie rozumiejącym".

W ciągu dwudziestu pięciu prawie lat Proust nie przestaje zasypywać Montesquiou hołdami i pochwałami. Montesquiou, który traktował Prousta w młodości jak kogoś o wiele od siebie niższego w hierarchii literackiej, w okresie, gdy sława Prousta poczyna wzrastać, czuje się niemal osobiście dotknięty. Ukoronowaniem jest nagroda Goncourtów, która przypadła Proustowi, a o której marzył Montesquiou.

„Niewątpliwie, w pierwszym tomie — pisze Quint—Charlus jest jeszcze amalgamatem. Można w nim odnaleźć niektóre rysy barona, którego Proust spotykał w salonie pani Straus... Lecz zwolna Charlus stał się żywym portretem... który, bez wahania został przez wszystkich zidentyfikowany. Nie po raz pierwszy zresztą Montesquiou służył jako model. W „A rebours" posłużył się jego postacią Huysmans, by odmalować Des Esseintes'a".

Wystarczy uważnie porównać korespondencję między Proustem i Montesquiou w sprawie młodego muzyka, Delafosse'a, z historią opisanej w dziele Prousta przyjaźni Charlusa i Charlie Morela, by przekonać się, że portret odpowiada oryginałowi. W korespondencji Proust — Montesquiou znajdujemy list z czerwca 1896 roku:

> „Drogi Panie,
> pewien młody człowiek, w którego towarzystwie nieraz — podobnie jak w towarzystwie Pana de Saussine — zachwycałem się pięknościami Pańskich dzieł — Pan Leon Delafosse — (ten sam, który będzie grał partię fortepianową w „Fantazji" pana Saussine'a na tematy „Chauves-Souris") skomponował melodie do „Salve Malva", „Kiss-Ess" i „Pecus" (tytuły utworów Mont. — przyp. mój). Wobec tego, że pan Delafosse nie ma zaszczytu Pana znać, prosił mnie, bym się wystarał dla niego u Pana o pozwolenie opublikowania tych melodii. Według mojego skromnego zdania są znakomite...".

Nazwisko młodego muzyka powtarza się jeszcze nieraz w listach Prousta do Montesquiou w rozmaitych kontekstach. Montesquiou zajął się lansowaniem Delafosse'a, podobnie jak Charlus lansował Morela w salonie pani Verdurin. Charlus wydaje przyjęcie dla Morela u pani Verdurin. Montesquiou organizuje przyjęcie, aby „popchnąć trochę naszego młodego artystę". Przyjęcie to odbyło się w ogrodzie Sary Bernhardt i było wspaniałe.

Tych podobieństw niezaprzeczalnych odnaleźć by można było bez trudu więcej. To, co jednak interesuje nas przede wszystkim w tej długiej przyjaźni Prousta z Montesquiou, który był wzorem i bożyszczem pisarza w okresie jego młodości i przelotnego snobizmu, to cierpliwość z jaką Proust znosi zmienne humory hrabiego Roberta, który nieraz stawiał Prousta w przykrych i trudnych sytuacjach. Montesquiou postanowił czytać swoje wiersze u Prousta i polecił mu zaprosić kilkanaście osób. Podobnie jak pani Verdurin, Montesquiou miał swoich „wiernych" i tych, których nie chciał widywać. Tym razem rzecz szła zdaje się o Lucjana Daudeta, jak to wnioskuję z imienia. Montesquiou nie życzył sobie by Daudet był obecny na tym wieczorze. Oto list Prousta z maja 1905 roku:

> „...A teraz najtrudniejsza sprawa. Na liście zaproszonych nie umieścił pan Lucjana. Tymczasem jest możliwe, że Lucjan przyjdzie, bądź dlatego, że usłyszy o tym wieczorze, bądź też poprostu dlatego, że często mnie od-

ADAM BROMBERG

Sprawy wydawnicze

Plany i realizacja (III) *)

SP. WYD. „WIEDZA"

NAJMŁODSZA i najmniejsza spośród „wielkiej trójki" wydawnictw spółdzielczych „Wiedza" startowała rok temu pierwszą swoją książką: Pruszyńskiego — „Droga wiodła przez Narwik". 1 czerwca b. r. „Wiedza" notowała już solną swoją pozycję wydawniczą i dzięki szerokiej własnej bazie technicznej jest w trakcie dalszej szybkiej rozbudowy.

Dorobek „Wiedzy" ilustruje następująca tabelka:

PRODUKCJA WYDAWNICZA „WIEDZY" DO DNIA 1. CZERWCA 1947 R.

	Tytuły Ilość	Objętość Stan	w %/%**	Nakład egz. w	%/%** w tys.
1. Słowniki i podręczniki szkolne	3	1480	7,7%	70	3,8%
2. Prawo	4	256	1,4%	115	6,3%
3. Ks. naukowe	5	1860	9,7%	45	2,5%
4. Ks. pop. — naukowe	5	796	4,3%	45	2,5%
5. Publicystyka	30	2358	12,5%	965	53,6%
6. Liter. piękna (prócz poezji)	38	9386	50,2%	405	22,5%
6 a. Poezje	4	618	3,4%	18	1 %
7. Książki dla młodzieży	4	1200	6,5%	75	4 %
8. Książki dla dzieci	7	790	4,3%	70	3,8%
	100	18.744	100	1808	100

Głównym działem pracy redakcyjnej „Wiedzy" jest więc literatura piękna. Beletrystyka, poezja i książki dla dzieci i młodzieży stanowią wg objętości 2/3 ogólnej produkcji. W beletrystyce przeważają jak dotychczas autorzy polscy, przy tym sporo pierwszych wydań. Reedycje: Nałkowska Uniłowski, Żuławski, Boguszewska, 8 przekładów, z tego tylko 2 nowo zamówione; reszta to reedycje. Zwraca uwagę znaczna poprawa szaty graficznej ostatnich — majowych książek. Bardzo starannie wydany jest Colas Breugnon — Romain Rollanda z ilustracjami Jurgielewicza. Rozpoczyna on serię książek ilustrowanych: Woltera — Kandyd (ilustracje Uniechowski), Don Kichot i Spartakus — Dobrowolskiego — (ilustr. Witza).

W starannym na ogół doborze tematycznym literatury pięknej niezrozumiałe jest wydawanie przez „Wiedzę" brukowych powieści „Expressu Wieczornego" — aż trzy „Barbary" czy „Joanny", z tego jedna w nakładzie 20.000! Nie mam żadnego zrozumienia dla potrzeby wydawania czerwoniaków w ogóle ale za zupełnie niedopuszczalne uważam próby wprowadzenia do literatury pisanych na kolanie rewolwerowych sensacji, czy też ckliwych romansów kuchennych.

Z innych działów warto się jeszcze przyjrzeć publicystyce stanowiącej przeszło połowę nakładów. Przeważają tu broszury, wydawane szczególnie intensywnie w r. 1946 (referendum i wybory). Inne działy — zaczynają się dopiero rozwijać.

Jeśli chodzi o popularność książek — to największe powodzenie miały „Kamienie na szaniec" — Kamińskiego. Wydrukowano już cztery nakłady, łącznie 40.000 egzemplarzy. Na drugim miejscu jest Pruszyński — „Droga wiodła przez Narwik" z 21.000 sprzedanych egzemplarzy i Dygat — „Jezioro Bodeńskie" (12.000 egz.). Największą chyba w Polsce powojennej sprzedaż poezji osiągnął tom Broniewskiego — „Krzyk ostateczny" (nakład 10.000 na wyczerpaniu). Niespodzianką jest również wyczerpanie nakładu „Autobiografii" — J. St. Milla.

Pobieżne przejrzenie planu wydawniczego „Wiedzy" wskazuje na dążność do utrzymania tych samych proporcji w przyszłości: wyraźna supremacja literatury pięknej, dążność do gromadzenia cennych wznowień literackich — Aragon, Silone, ale i Wolter, Cervantes, Prevost, Dostojewski, Tołstoj, Daudet. Jednotomowe wydanie klasyków polskich. Kilka nowych tłumaczeń książek radzieckich. Te obszerne plany w tej dziedzinie kontrastują z zupełnym brakiem poważniejszych pozycji naukowych z dziedziny socjologii i ekonomii.

Jeszcze słowo o polityce cen, które w „Wiedzy" i w „Czytelniku" kalkulowane są dość wysoko — na poziomie wydawców prywatnych (w wypadku gdy dysponują przydziałowym papierem). Czas już przejrzeć kalkulacje i przyjąć zasadę opłacalnych nakładów i cen na książki zasługujących na szerokie rozpowszechnienie, dostępnych dla ludzi pracy.

Uzyskałem w „Wiedzy" informację, że w księgarniach „nie idą" egzemplarze oprawne, mimo, że np. Napoleon — Tarlego w przyzwoitej oprawie kosztuje tylko o 150 zł. drożej. Kupowane są jednak egzemplarze broszurowane. Wskazuje to wyraźnie na konieczność oszczędzania przez nabywcę książek — stuzłotówka odgrywa już poważną rolę przy zakupach. Nie należy więc „zaokrąglać" ceny do pięćsetek — nie należy sugerować się nierzeczywistymi twierdzeniami, że jak ktoś ma kupić za 400 — to kupi za 500. — To jest niesłuszne i sprzeczne z zasadą społecznego wydawnictwa.

Adam Bromberg

*) Por. Kuźnica nr 22/47 (Czytelnik), nr 24/47 (Książka).

**) w %/% ogólnej produkcji.

wiedza. Nieraz go nie przyjmuję, ale tylko wtedy, kiedy jestem cierpiący. W tym wypadku jednak Lucjan zobaczy w przedpokoju płaszcze, jeśli go wówczas odprawię, to będzie dla niego przykre, a nie chciałbym sprawić przykrości takiemu przyjacielowi jak on. Jeśli więc już w żaden sposób Pan nie chce, by on był obecny, powiem mu wprost, żeby nie przychodził, jak to już zapowiedziałem innym moim przyjaciołom, etc...

Przyczyna, dla której Proust znosi te wszystkie przykrości i nieustannie świadczy Montesquiou - poecie, jest bardzo prosta. W pewnej chwili Proust powziął plan napisania swojego dzieła i Montesquiou miał być właśnie tym człowiekiem, który niby Wergiliusz, przeprowadzi Prousta przez nowoczesne piekło paryskich salonów i arystokratycznych pojęć o świecie. Proust, należy to przyznać, wyzyskał tę znajomość doskonale. Montesquiou po kolei wydaje sekrety swojej kasty, Proust ma możność codziennej obserwacji. W kilkanaście lat później Proust przyjaźni się z Olivierem, starym maitre d'hotelem od „Ritza", który z kolei znosi mu plotki i wieści o bywalcach tego wielkiego hotelu, gdzie Proust, zawinięty w futra, nieraz w loży portiera przesiadywał nad swoją powieścią, obserwując zza szyby przechodzących gości.

Oto kilka fragmentów z listów Montesquiou do Prousta i z listów Prousta do Montesquiou w sprawie „klucza" do „Utraconego czasu":

Montesquiou do Prousta, wiosną 1921 roku:

„Drogi Marceli, powracając do sprawy „kluczy", fałszywych czy prawdziwych, obchodzą one tylko autora i mają dla nas wyłącznie znaczenie drugorzędne. To, co ma dla nas znaczenie, to „dziurka od klucza", przez którą często przechodzą te wielbłądy, o których Ewangelia sądzi, iż są zbyt wielkie ,by mogły przejść przez ucho igielne. Przyszli czytelnicy nie będą się zupełnie tym zajmować, czy taki wielbłąd jest ochrzczony mniej czy bardziej katolickim imieniem...

„Ja, który wycofałem się z towarzystwa, ale znam dość dobrze pokolenie, występujące w pańskim dziele, nie znałem d'Albufera... Wydaje mi się sympatyczny taki, jak go Pan opisuje, zwłaszcza... na poręczy ławki i ustawiony przez Fokina (znakomity baletmistrz — przyp. mój)... Wszystko to może znakomicie odpowiadać również postaci Guiche'a, którego z początku wziąłem za model Saint-Loup, świetnie mi to pasuje, o wiele nawet lepiej niż Charles Ephrussi jako Swann; Haas odpowiada mi nieskończenie bardziej i z tą myślą przeczytam ten tom... etc".

Siedzą od lewej do prawej: Marcel Proust, Ganderay, pani Emile Straus

Proust odpowiadał wykrętnie na te listy, w których między innymi Montesquiou odgadywał siebie w postaci Charlusa:

„Jedynie portret barona D..., który był stałym bywalcem salonu pani d'Aubernon posłużył mi do opisu p. de Charlus, gdy spogląda na mnie, udając, że mnie nie widzi... Pani de Villeparisis jest mieszaniną pani de Baulaincourt i hrabiny C. Co do Saint-Loup, to nie jest to d'Albufera... (był to przyjaciel Prousta, który zerwał z nim znajomość, gdyż zdawało mu się, że posłużył jako model Saint-Loup — przyp. mój)... jest to zwłaszcza w scenie tańca na poręczy w wielkiej mierze portret Bertranda de Fenelon (również przyjaciel Prousta — przyp. mój) który zginął w 1914...".

W ciekawej pracy wspomnieniowej pani de Clermont - Tonnere można odnaleźć niejedną informację, która dotyczy źródeł pochodzenia rozmaitych nazw, imion i nazwisk zawartych w dziele Prousta. Myślę, że na podstawie obfitej literatury o Prouście, zwłaszcza zaś na podstawie owych sześciu tomów jego korespondencji można by ustalić dość dokładne genealogie poszczególnych osób dramatu. Ale czyż sam Proust nie oświadczył: „Nie mogę panu nawet powiedzieć, ile kościołów było modelem mojego kościoła w Combray...".

Czas kończyć wizytę u Marcelego Prousta. Wdarliśmy się bezceremonialnie do jego korespondencji, gdy właściwie mieliśmy prawo tylko do wydanych przez niego samego dzieł. Los jednak wystawia wielkich pisarzy na widok publiczny. Skorzystałem z tego obszernie, starając się wzbudzić zainteresowanie dla ostatniego zapewne klasyka mieszczańskiej Francji. Za kilkadziesiąt lat dzisiejsze spory na temat metody literackiej będą należały do historii. Dziś wynikają one z konkretnej potrzeby pogodzenia zmian którym podlega system społeczny, z ich reprodukcją w sztuce. Nie jest to zadanie łatwe ani proste, mimo to jest konieczne. Nie znaczy to jednak, byśmy mieli dlatego wykreślać Marcelego Prousta z długiej listy wielkich pisarzy, których Francja niestrudzenie od wieków daje światu. Posłuchajmy, co mówi Proust o śmierci Bergotte'a:

„Pochowano go, lecz przez całą noc żałoby, pod oświetlonymi oknami, jego książki, ułożone trójkami, jedne na drugich, czuwały jak anioły o zwiniętych skrzydłach i wydawały się symbolem zmartwychwstania tego, którego już nie było".

Paweł Hertz.

ANTONI SŁONIMSKI

LITERATURA W UNESCO *)

Chciałbym w krótkim rzucie przedstawić kolegom prace UNESCO w dziedzinie literatury, prace, które trwały przez okres mniej więcej jednego roku. Jest to plan sekcji literatury w UNESCO, który był opracowany przez Sekretariat i który został zaakceptowany na konferencji paryskiej. Nie są to rzeczy specjalnie nowe, ale mam wrażenie, że są to projekty praktyczne i wykonalne i że koledzy muszą być o nich poinformowani.

Struktura UNESCO jest dość prosta. Jest to organizacja, która dzieli się na 7 sekcji, niektóre o dużym, bardzo szerokim zakresie, a więc na sekcję wychowawczą, sekcję naukową, która rozdzielona jest na przyrodniczą i socjologiczną, sekcję literatury, sekcję plastyków i muzyków, sekcję t.zw. środków szerokiego działania, tak radio, film, prasa, sekcję bibliotek i muzeów i sekcję pomocy kulturalnej krajom zniszczonym przez wojnę.

Sekretariat składa się z przedstawicieli różnych narodów, dobieranych przez Dyrektora Generalnego bez konsultacji, jednakże za zgodą państw, należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Projekt przeszedł dwie komisje wstępne w Londynie i składa się nie tylko z projektu, który dał Sekretariat, ale i z sugestii ekspertów, biorących udział w tych komisjach. Podam tu parę zasadniczych, główniejszych projektów w dziedzinie literatury, z których oczywiście na plan pierwszy wysuwa się sprawa przekładów.

Musimy skonstatować, że obraz literatury światowej, jeżeli chodzi o przekłady, jest niepełny, przede wszystkim na skutek komercjalnego stosunku większości wydawców. Dzieła, które są obrazem kultury narodu, często nie są utworami, które mają szanse handlowe, dotyczy to zwłaszcza poezji, dramatów, które albo wcale nie są tłumaczone i nie ma ich w ogóle na rynku wydawniczym, albo są źle tłumaczone. Tego rodzaju instytucja jak UNESCO jest powołana do wypełnienia tych luk w obrazie literatury światowej. Droga praktyczna polega na stworzeniu listy książek, które nadają się do przekładów i, które po sformowaniu przedstawiamy Ministerstwu Oświaty czy Kultury i Sztuki danego kraju oraz wielkim koncernom wydawniczym.

Z tym wiąże się sprawa tłumaczy. Zdajemy sobie sprawę, że tłumaczenie nie jest to sprawa mechaniczna i wiemy, jak trudno o dobrego tłumacza. Tworzymy kartoteki tłumaczy wartościowych. Dążeniem naszym jest stworzenie światowego związku zawodowego tłumaczy, bo łatwiej jest współpracować ze związkiem zawodowym, niż z jednostkami. Taki związek zawodowy jest już we Francji. Sprawami tymi staramy się zainteresować kraje, które nie mają związków zawodowych, ani żadnej organizacji pisarskiej, jak np. Turcja. Stworzenie takiego światowego zawodowego związku tłumaczy jest rzeczą, która dla całej działalności UNESCO nie tylko na terenie literatury, ale wszystkich sekcji, jest bardzo ważna.

Jeżeli chodzi o przekłady, to projekt UNESCO przewiduje wydanie paru antologii poezji oraz antologię Cierpienia i Oporu (projekt delegata Czechosłowacji), która ma być całkowicie przez UNESCO subwencjonowana. Projektujemy antologię poezji Ameryki Łacińskiej (jest w opracowaniu), antologię poezji chińskiej i poezji słowiańskiej.

Oczywiście są to prace na długą metę, ale Sekretariat przystąpił już do wstępnych prac.

Drugi projekt, aprobowany na konferencji paryskiej, przewiduje utworzenie t.zw. ajencji międzynarodowej dla wymiany rękopisów, której celem jest wybór i rozsyłanie najlepszych utworów, wydrukowanych w najlepszych pismach, do wszystkich pism literackich. To wpłynąć winno na wzajemne poznanie się często odległych od siebie rejonów kulturalnych. UNESCO weszło już w kontakt z około 500 pismami. Ułatwianie wzajemnego przenikania między nimi na całym świecie za pośrednictwem takiej ajencji literackiej jest rzeczą, która interesuje nie tylko stronę ideową naszego programu, ale która jest również ważna ze względu na interes materialny autora. Bo jeżeli opowiadanie pisarza polskiego wyjdzie w 500 pismach, to i honorarium jego będzie w tym stosunku powiększone. Ale do tego jest potrzebny aparat tłumaczy. Językami obowiązującymi na terenie Organizacji N. Z., a więc i UNESCO, są: angielski, francuski, hiszpański, rosyjski i chiński. Istnienie ajencji literackich jest uwarunkowane względami ekonomicznymi, ajencje takie są w krajach o wysokiej walucie. Otóż zastąpienie tego przez organizację UNESCO wydaje się słuszne i wskazane.

Jeżeli chodzi o pomoc pisarzom, to rozpatrywane były możliwości stworzenia dla artystów tego rodzaju fundacji, jak Rockefellera dla uczonych. Zwróciłem się w tej sprawie do fundacji Rockefellera i sądzę, że istnieje pewna nadzieja, że taka fundacja może powstać. Fundacja Rockefellera dała po wojnie pomoc szeregowi pisarzy angielskich i to mieści się w jej funkcjach. Chodziłoby tu o kwestię wyjazdu corocznie z każdego kraju kilkunastu ludzi dla studiów zagranicznych. Pomoc ta przede wszystkim objąć powinna kraje, które ucierpiały w wojnie i odcięte były od kultury zachodu.

Również rozważamy sprawę pomocy dla Penklubów.

W pierwszym rzędzie chodziło o rekonstytuowanie Maison Internationale w Paryżu, który został zdewastowany przez Niemców. Instytucja ta miała swój realny sens. Pisarz, który przyjeżdżał do Paryża, miał pokój i bibliotekę do swego rozporządzenia.

Trzeci z głównych projektów, który był na konferencji paryskiej aprobowany jednogłośnie — to stworzenie międzynarodowego Instytutu Teatralnego. Niebawem w Paryżu odbędzie się konferencja ekspertów międzynarodowych dla określenia celu i zadań tego Instytutu. Będzie to, mówiąc najszerzej, wymiana grup artystycznych, np. ekspedycja malarzy do Chin czy teatru chińskiego do Europy, wymiana fotografii wystawianych utworów, umożliwienie korzystania ze skryptów, wszystko słowem, co ułatwia zbliżenie i współpracę międzynarodową. W Moskwie jest w pewnym sensie podobna instytucja lokalna tzw. „Gabinety reżyserskie", w których każdy przyjeżdżający reżyser może otrzymać całe dossier, dotyczące danej sztuki.

Tu wrócę jeszcze do sprawy przekładów, które, jeżeli chodzi o teatr, są złe, a czasem katastrofalne.

Tłumaczenie poezji jest zagadnieniem wyjątkowo trudnym i skomplikowanym. Jest rzeczą zasadniczą, że poetę musi tłumaczyć poeta. Nie jest trudno znaleźć we Francji poetę, który zna angielski, a w Anglii poetę, który zna język francuski, ale znacznie trudniej jest znaleźć np. w Anglii poetę, który zna język bułgarski, chiński czy polski. Mamy już tu pewne doświadczenie, zdobyte przy opracowywaniu antologii.

Eksperymentujemy przekłady wierszy drogą kooperacji specjalistów językowych i poetów.

Oczywiście w literackich planach UNESCO, które są bardzo obszerne, jest wiele punktów drobniejszych, które są jednak ważne, jak np. sprawa utrwalenia tradycyj oralnych, opowiadań, baśni, opowiadań ludowych. Należy je spisywać, opracować z zachowaniem charakteru. Pamiętamy również o alfabecie Brail'a i o listach wartościowych książek, które winny być dostępne ociemniałym.

Na temat języka międzynarodowego były poważne debaty na terenie UNESCO. Wszelkie próby zastosowania esperanto byłyby katastrofalne dla literatury. Zresztą okazało się kiedyś na Kongresie w Glasgow, że esperantyści nie mogli porozumieć się między sobą bez tłumaczy, bo Anglicy wymawiali inaczej niż np. Słowianie. Sekcja literatury ma ścisłe związki z innymi sekcjami UNESCO. Doskonale orientujemy się, że książka nie jest na pierwszym miejscu, jeżeli chodzi o kształtowanie opinii. Dziś na pierwszym miejscu jest radio, kino, a książka schodzi na punkt trzeci czy czwarty. Jeżeli chodzi o powiększenie wzajemnych wiadomości między narodami, to środki te są pierwszorzędne, ale w każdym z tych działów literatura jest zasadniczym elementem.

Również wchodziliśmy w kontakt ze związkami zawodowymi z Fabion Society dla rekomendowania książek dla związków zawodowych, świetlic czy czytelni.

Z tych wszystkich prac, które zostały opracowane na kongresie paryskim, niewiele uda nam się zrealizować w roku 1947, dlatego, że sytuacja UNESCO jest dość trudna budżetowo. Konstatujemy, niestety, spadek zainteresowania Narodami Zjednoczonymi, co odbija się oczywiście na żywotności i możliwościach finansowych UNESCO. Budżet na rok 1947 stanowi 1/3 tego co miasto New-York wydaje rocznie na wywózkę śmieci (25 mil. dol.).

Oczywiście sekretariat UNESCO doskonale orientuje się w dysproporcji tych środków i celów, nie mniej istnieje świadomość, że robić trzeba, że jest to trud, który musi być podjęty i poczucie, że działa-

*) Sprawozdanie z referatu Antoniego Słonimskiego na temat „Literatura w Unesco", wygłoszonego w Łodzi, dn. 21 czerwca 1947 r.

my we właściwym kierunku dodaje odwagi w pracy.

Propaganda UNESCO jest niedostateczna. W Ameryce ktoś powiedział Huxley'owi, że oczywiście słyszał o UNESCO, że UNESCO to mały, ale bardzo dzielny naród europejski.

Istotnie jesteśmy małym, ale dzielnym narodem. Jesteśmy słabi, wiemy jakie są przed nami trudności, ale nie rezygnujemy z walki o pokój i unifikację świata. Filozofia UNESCO obala ideę wojny. UNESCO jest instytucją pacyfistyczną, a Huxley niejednokrotnie podkreślał konieczność współpracy z Rosją Sowiecką. Co do tych możliwości nie jestem zupełnie pesymistyczny, one istnieją, zwłaszcza w dziedzinie teatru i nauki ścisłej.

Następny kongres UNESCO w Meksyku będzie decydujący dla przyszłości organizacji, tam rozstrzygnie się przyszłość tej instytucji.

Program przyjęty na kongresie paryskim jest dobry, ale środki dla realizacji są słabe i jeżeli przyszły kongres nie da tych środków, to instytucja padnie, jak padł kiedyś Instytut Współpracy Międzynarodowej Ligi Narodów, jak padnie może wiele takich organizacji nim zwycięży idea unifikacji świata.

Antoni Słonimski

DYSKUSJA

Red. Żółkiewski: Jakie rządy stoją w tej chwili za tendencjami utrzymania UNESCO w charakterze instytucji, służącej intencjom Huxleyowskim — otwieranie drzwi współpracy z Rosją?

A. Słonimski: To właściwie nie są rządy, to są ludzie. Jeżeli chodzi o blok amerykański, został on wyeliminowany na skutek pewnych indywidualności, które były na kongresie. Więc — blok słowiański (bez Rosji Sowieckiej), Francja, Anglia, parę krajów Południowej Ameryki, i to wszystko.

Red. Żółkiewski: Czy we Francji i Anglii to jest zależne w pewnym sensie od układu sił politycznych, tj. w Anglii decydują labourzyści, a we Francji demokraci?

A. Słonimski: Oczywiście Anglia i Francja boją się konfliktów i stawiają na to, co może przyczynić się do odprężenia sytuacji.

Red. Żółkiewski: Z programu UNESCO widać, że jest w tej instytucji aleksandryjska tendencja ochrony dóbr, a więc jest pewne przekonanie, że jakby u schyłku kultury, należy je ratować, i to znalazło silny wyraz w przemówieniu Malraux, który widzi załamanie się kultury humanistycznej, opartej na człowieku.

A. Słonimski: Wypowiedzi Malraux były w ramach miesiąca UNESCO, w Sorbonie paryskiej, gdzie Huxley miał również odczyt. Ale to nie ma nic wspólnego z postawą sekretariatu UNESCO.

Jeżeli chodzi o zabezpieczenie kultury, ta rzecz jest rozważana głównie w sekcji bibliotek i muzeów. Jest tendencja filmowania wszystkich wartościowych obiektów (mikrofotografia), bo nie można negować, że istnieje pesymizm co do uchowania tych dóbr. Mówiłem o tym z wielu ludźmi w Anglii. To jest zagadnienie z dziedziny ekologii, zagadnienie przystosowania się gatunków do nowych warunków. Cywilizacja techniczna stworzyła nowe warunki życia i jeśli człowiek nie przystosuje się do nich, zginie. Jeżeli mówi się o katastrofie kosmicznej, to dziś ta zagłada może przyjść z rąk ludzkich.

W Nagasaki i Hiroszimie rodzą się potwory z naruszonych przez radioaktywność genów ludzkich, zniekształcone dzieci o zrośniętych członkach itp.

Nie można przejść nad tymi rzeczami do porządku, zwłaszcza że bomba atomowa i radioaktywność nie są jedynymi, które grożą ludzkości.

Jeżeli chodzi o stosunek UNESCO do tych spraw, istnieje niewątpliwie zatrwożenie, a w związku z tym chęć utrwalenia dorobku cywilizacji.

P. Hertz: Mówił Pan, że delegaci UNESCO są ludźmi niezależnymi. Jak to dzieje się, że delegacja amerykańska prowadzi politykę swoistą, zależną?

A. Słonimski: W delegacji amerykańskiej byli ludzie z klucza politycznego. W innych państwach tego nie było, albo w mniejszym stopniu. Amerykanie przyszli z pewną ekipą polityczną.

Red. Żółkiewski: A dlaczego z „miesiąca UNESCO" zdobyły większą popularność rzeczy pesymistyczne? Na przykład my o odczycie Huxley'a nie wiemy nic, a o Malraux wiemy.

A. Słonimski: To jest wina service'u obsługi. Malraux jest efektowny i łatwiejszy, dlatego interesował: wykład Huxley'a był wykładem naukowym i dziennikarz, który chodził na to, mniej był zainteresowany tym wykładem. To są rzeczy przypadkowe...

P. Hertz: Jakie z planów wydawniczych zostały zrealizowane, jakie książki zostały wydane?

A. Słonimski: Proszę Pana, niech Pan nie zapomina, że to jest organizacja młoda, której program dopiero 3 miesiące temu został ustalony i zatwierdzony. Jednak w pewnych dziedzinach są rzeczy, które robi się. Na rok 1947 mamy prace przygotowawcze: konferencja w sprawie teatralnej, opracowanie antologii „Cierpienia i Oporu", — w sekcji literackiej kilka rzeczy będzie pchniętych.

J. Żuławski: Jak praktycznie został pomyślany kontakt Sekretariatu z krajami?

A. Słonimski: Przez delegatów. U nas w Polsce mamy delegatów przy Ministerstwie Oświaty. Uważam, że byłoby dobrze, aby na przyszłej konferencji były wystawione jakieś dezyderaty polskie w dziedzinie literatury. Niestety na ostatniej konferencji nie było ich, byłoby więc dobrze, żeby teraz delegat polski z czymś przyszedł. Zdaje mi się, że związek zawodowy literatów polskich powinien specjalne zebranie poświęcić tym sprawom i przedstawić swoje poglądy, tak samo jak i inne kraje przyjdą ze swoimi projektami i życzeniami na tę konferencję.

J. Żuławski: Byłoby dobrze, gdyby sekcja literacka UNESCO miała projekt i rozesłała go do poszczególnych związków zawodowych, jako punkt wyjścia dla uwag na temat tego projektu ogólnego.

A. Słonimski: Słusznie. Projekt będzie rozesłany. Więcej już nikt nie stawia zapytań? No to dziękuję bardzo. (Oklaski)

KAZIMIERZ BUDZYK

Skończyć z burzliwą dyskusją w sprawach wydawniczych

Rzeczywicie — racja. Czas skończyć z dyskusją i rozpocząć realną pracę nad opanowaniem panującego obecnie chaosu wydawniczego. Bo, że ten chaos istnieje, tego wcale nie zaprzecza A. Bromberg w krytyce mojego artykułu i innych tego rodzaju wystąpień. Swoją drogą byłbym osobiście bardziej pobłażliwy dla „ludzi pióra i nauki", których ów chaos wytrąca z równowagi i zmusza do zabierania głosu. Nie wydaje mi się, żeby nadszedł już okres, kiedy wszystkie te wystąpienia trzeba by uznać za szkodliwe. Niewątpliwie okres ten jest mam nadzieję bliski (widać już pierwsze jaskółki zwiastujące uzdrowienie stosunków) i dlatego obecnie może istotnie należałoby zalecić większą ogledność i przenieść rzecz na grunt bardziej konkretny.

Odwoływanie się do gruntownej znajomości rzeczy każe oświetlać sprawę możliwie z rozmaitych punktów widzenia, i dlatego pozwolę sobie uzupełnić fakty przytoczone w znanych artykułach A. Bromberga. Istnieją jeszcze i inne źródła informacji niż te, które wyczerpał Bromberg i wyzyskanie ich może przynieść interesujące oświetlenie problemu i zmienić charakterystykę sytuacji nakreśloną w ostatnim artykule Bromberga. Stykałem się trochę z tymi materiałami i dlatego jeszcze tę sprawę poruszam.

Przede wszystkim sprawa dubletów wydawniczych. Powiada Bromberg, że nie jest to zagadnienie groźne i dodaje, że „wychodzi to czytelnikowi na dobre". Exemplum — „Pan Tadeusz". Otóż nie. Jednak to jest zagadnienie i warto mu bliżej się przyjrzeć. Jak wiadomo, wojna i okupacja wyniszczyła głównie dwa rodzaje bibliotek: biblioteki szkolne i powszechne. Wedle cyfr szacunkowych mamy na tym odcinku w stosunku do potrzeb niedobór sięgający przeszło 20 milionów egzemplarzy. I zastanówmy się teraz, co jest podstawą bibliotek szkolnych i powszechnych? Czy czasami nie klasycy i autorowie, których dzieł nie broni prawo? Czy więc nie ma w ten sposób pola do korsarstwa wydawniczego, o którym pisałem poprzednio? Zresztą spójrzmy nieuprzedzonym okiem na rzeczywistość. Nie dysponuję ścisłymi danymi (nikt obecnie ich nie ma) ale konia z rzędem temu, co mi udowodni, że przeszło połowa lektur szkolnych i książek przewidzianych m. in. do bibliotek powszechnych nie ukazało się w edycjach zdublowanych i to nierzadko zdublowanych wielokrotnie. Nie chodzi oczywiście o ustalenie winnych i słusznie Bromberg powiada, że mój artykuł pisany był na pewno bez zamiaru znieważania wydawców. W tym konkretnym wypadku powiedziałbym, że dublety wydawnicze, choć są obiektywnie szkodnictwem, mogą świadczyć o jak najlepszych intencjach i dużym poczuciu obywatelskim działających firm wydawniczych. Jest bowiem konkretne zapotrzebowanie społeczne i wszyscy starają się je wykonać. Ostre słowa jakie tu padły dotyczyły wyraźnych spekulantów, od których wszyscybyśmy się chcieli uwolnić.

Tak czy owak, dublowanie wydawnictw jest niezamierzonym wprawdzie, ale jednak marnotrawstwem. I musi się znaleźć instrument który do tego nie dopuści, bo nas po prostu na to nie stać. Obawiam się, że sami wydawcy nie potrafią tego zadania rozwiązać i że wobec tego mimo pesymizmu Bromberga musi się tego podjąć ów legendarny jeszcze państwowy ośrodek dyspozycyjny dla spraw wydawniczych.

Druga sprawa, to celowość kulturalno-społeczna publikowanych książek i kontrola bezbłędnego wydania pod względem edytorskim. A. Bromberg jest zdania, że zagadnienie to „sprowadza się nie do kontroli oddzielnych książek, ale do stawiania odpowiednich wymagań wydawnictwom". Tak się złożyło, że przez wiele miesięcy stale mam z tym do czynienia na pewnym odcinku produkcji wydawniczej i nie wierzę w skuteczność samego tylko stawiania wymagań. Pouczającą pod tym względem rzeczą jest przyjrzeć się jaki procent książek odpada przy komisjach kwalifikujących je do szkół i bibliotek szkolnych, ile też otrzymuje wymowną kwalifikację: „zatwierdzona czy polecona warunkowo do czasu ukazania się poprawnego wydania". Znawcy literatury dziecięcej obradujący ostatnio w Warszawie również dochodzili do smętnych wniosków w sprawie celowości wydania dużej części książek, które niestety okazały się poniżej poziomu. Być może, że sprawa ta z biegiem czasu przestanie być aktualna, gdy aparat wydawniczy wszystkich firm będzie działał sprawnie. W każdym razie obecnie jest to bolączka bardzo istotna i musi się znaleźć odpowiednie wyjście z sytuacji. Jest rzeczą dyskusji wyszukać rozwiązania praktyczne, które doprowadzą do celu.

Sprawa papieru... Bardzo trudna to sprawa i chyba nie miejsce tutaj do rozpatrywania jej w szczegółach. Jedno tylko chciałbym poruszyć. Przydzielanie papieru na podstawie zgłoszonych planów wydawniczych nie zaprowadzi nas daleko z dwu względów. Należy się spodziewać, że wszyscy poważni wydawcy potrafią przedłożyć teoretyczny plan, który w jednakowym stopniu będzie spełniał wymagania co do wartości i hierarchii projektowanych wydawnictw. Merytorycznie nie będzie więc żadnego kryterium, które nam każe przydzielić papier temu, a odmówić innemu. Po drugie nie wyobrażam sobie wydawcy, który w sposób realny i odpowiedzialny potrafi planować nie znając wpierw swych możliwości praktycznych — czyli właśnie pozostającego do jego dyspozycji papieru. Wynika stąd, że wpierw trzeba, przynajmniej orientacyjnie, przydzielić papier, a potem żądać przedłożenia konkretnych planów i pilnować ich wykonania.

Krytyka obecnie działających ośrodków dyspozycyjnych przydzielających papier nie mogła być celem mojego artykułu choćby dlatego, że w trakcie pisania go, owe ośrodki po prostu jeszcze nie istniały względnie nie zaczęły działać. Ale i niezależnie od tego, co robi ów „praktycznie osiągalny ośrodek dyspozycyjny" przydzielający papier na cele ogólnie biorąc oświatowe, sprawa ta nie będzie mogła być rozwiązana w trybie przyjętym obecnie. Wysuwałem w swym artykule zagadnienie czasopism i przerostów na tym odcinku. Żadna komisja przydzielająca papier nie postawi na nogi produkcji wydawnictw książkowych, jeśli nie przywróci się normalnych proporcji między periodykami i nie periodykami i nie przestawi się odpowiednio produkcji papieru z gazetowego na dziełowy. W swoim artykule dawałem argumenty popierające tezę, że obecnie należałoby zerwać z supremacją periodyków i w hierarchii wydawniczej wysunąć na czoło książki. Nie wiem czy może to znajdować się w rejestrze zadań działającej obecnie komisji przy Ministerstwie Oświaty.

Pozostawianie wydawcom swobody własnej koncepcji wydawniczej — jak tego chce Bromberg — prowadzi, jak mi się zdaje, do wypuszczenia z rąk kierownictwa akcji kulturalno - oświatowej, na co Ministerstwo Oświaty chyba nie zechce się zgodzić. I słusznie. Nie po to robi się reformę szkolną, żeby jej dalszy ciąg (czytelnictwo!) pozostawiać „własnej koncepcji" firm wydawniczych. A poza tym gdzie wśród najbardziej uspołecznionych wydawców znajdzie się taki szalony idealista, który z własnej inicjatywy będzie wydawał nierentowne książki naukowe. I czy nie jest to zadaniem jakiegoś centralnego ośrodka dla spraw wydawniczych, żeby spowodować, by zalegające od lat rękopisy prac naukowych mogły ukazać się drukiem? Jest to niewątpliwie ciężar i sprawiedliwe rozłożenie go na wszystkich wydawców wydaje się konieczne w sytuacji, gdy państwo temu ciężarowi nie potrafi podołać. Nie znam takiego odcinka życia, na którym samo tylko odwoływanie się do dobrej woli dało pożądane wyniki. Jeśli w ten sam sposób przez analogię oceniam sytuację na naszym rynku wydawniczym, nie oznacza to wcale nieufności względem wydawców. Po prostu inaczej być nie może, choćby każdy z nich osobiście chciał jak najlepiej. Jeśli chodzi o konieczną swobodę własnej koncepcji wydawniczej, tutaj oczywiście musi być respektowane prawo do specjalizacji, nieodzowne dla nastawienia aparatu redakcyjnego i nikt prawa tego zaprzeczać nie będzie.

Sprawa „idealnego planu wydawniczego". Nie taki groźny istniejący w tym sformułowaniu „idealizm". Chodzi tu po prostu o określenie „popytu" na pewne książki i sharmonizowanie go z „podażą" zaproponowaną w okresowych planach wydawców. Czy jest to konieczne — jak chce Bromberg — prowadzenie za rączkę wydawców, dowód nieufności? Nie wydaje mi się. Myślę, że jest to raczej właściwe rozgraniczenie kompetencji. Nie wydawcy, lecz działacze kulturalno - oświatowi lepiej wiedzą, jakie w tej chwili jest zapotrzebowanie na książkę w bibliotekach oświatowych, profesorowie (członkowie Towarzystw Naukowych) orientują się lepiej niż wydawcy w potrzebach szerokich rzesz studentów i w potrzebach nauki, analogicznie zespoły czy organizacje fachowców, każda w swojej dziedzinie itd. Nie sądzę, żeby dokładnie określenie „popytu" ze strony zainteresowanych mogło być groźne dla wydawców, czy ubliżające nawet poważnym firmom wydawniczym. Jestem przekonany, że ich inicjatywa potrafi dać lepsze wyniki, gdy będą znać konkretnie istniejące potrzeby. Bo ów „idealny" plan wydawniczy należałoby publikować, okresowo go uzupełniać czy poprawiać. Oczywiście gdzieś muszą się centralizować te prace i sądzę, że odpowiednią komórką mógłby być ów nieistniejący jeszcze państwowy ośrodek wydawniczy.

Na początku wspomniałem, że widać już pierwsze jaskółki zwiastujące uzdrowienie stosunków. Niektóre zarządzenia zapowiedziane były w dziennikach, jedno z pociągnięć uwiecznione zostało przez zawsze wścibskie „Szpilki". Z artykułu A. Bromberga dowiadujemy się ponad to o komisji działającej przy Ministerstwie Oświaty przydzielającej papier na wydawnictwa, którymi Ministerstwo się interesuje. W tej chwili jest to być może jedyny praktycznie osiągalny ośrodek, ale wąski zakres jego działalności nadaje mu charakter raczej doraźny. I dlatego przypuszczam, że wbrew opinii A. Bromberga okaże się konieczne powołanie komórki nadrzędnej, wyposażonej w rozległe kompetencje, która będzie mieć za zadanie kierować akcją wydawniczą z punktu widzenia polityki kulturalno-oświatowej w skali odpowiadającej reformom już na tym odcinku realizowanym.

Kazimierz Budzyk

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

„Żołnierz i bohater" G. B. Shawa

Wszystkie sztuki Shawa z tego okresu — z okresu lat dziewięćdziesiątych — posiadają wśród swych tendencji pewną wspólną, powtarzającą się z rozmaitym natężeniem, strzałkę kierunkową, która wskazywać ma na wizerunek „prawdziwego człowieka". Jakiż to jest ten „prawdziwy człowiek" Bernarda Shawa? Jest to człowiek, wyzbyty wszelkiego zakłamania, wszelkiej pozy, wolny od konwencjonalnych przesądów — poza tym raczej cyniczny obserwator stosunków i warunków życia, niż ich współtwórca.

W swoim momencie historycznym takie postawienie sprawy przed oczyma pełnej hipokryzji publiczności mieszczańskiej miało niewątpliwie swój pozytywny sens, odgrywało swoją rolę jako ostrze, celnie trafiające w zaśniedziałe mity i mieszczańską konwencjonalność. Czerpiąc technikę sytuacji scenicznych z najlepszych wzorów francuskiej komedii — sztuki Bernarda Shawa są bogatsze o całą swą tendencję społeczną, o tendencję wyraźnie nawet polityczną, wyprowadzoną z postawy społecznej. Nawet tak stosunkowo blada sztuka, jak „Żołnierz i Bohater", wyraźnie ten sens polityczny — na owe czasy aktualny — posiada.

Inna rzecz, jak patrzymy teraz na sprawy, w tej sztuce zawarte, jak patrzymy na sposób ich przedstawienia przez autora sztuki. Wydaje nam się to dziś conajmniej dziwne i śmieszne waziutkie w swej bazie społecznej, gdy ów „prawdziwy człowiek", wyzbyty pozy i zakłamania na tle zakłamanego otoczenia, opromieniony dostojeństwem „wolnego obywatela republiki" — jest na wszelki wypadek właścicielem kilkunastu hoteli.

Ale całe widowisko jest napewno wesołe i dowcipne. Kameralny Teatr Domu Żołnierza wystawił tę sztukę z dużą starannością. Reżyseria Józefa Wyszomirskiego utrzymała akcję w dobrym tempie, ustawiła sytuacje w sposób bardzo trafny i dający pełny wyraz komediowej i charakterystycznej dla satyry angielskiej atmosferze sztuki. O ile pamiętam, pierwszy raz widzieliśmy tu po wojnie dekoracje Konstantego Mackiewicza. Swoją kolorowością dobrze chyba wiązały się z całą tą satyrą, dobrze prezentowały angielskie wyobrażenia o bałkańskim egzotyźmie.

Zespół aktorski na ogół doskonale zgrany. Ludwik Tatarski najlepiej spełnił swe zadanie, stwarzając naprawdę i całkowicie pełną postać sceniczną. Danucie Szaflarskiej — przy całym jej wdzięku i dobrej grze — przeszkadzało trochę w jej komediowej roli to, że jest aktorką wyraźnie dramatyczną. Toteż postać Rainy niekiedy łamała się nieco. Żukowskiemu też zdarzało się już w innych rolach lepiej zamykać całość postaci. Jego Major Sergiusz miał pewne nieznaczne braki w ogólnym swym charakterze.

Reszta postaci w charakterze swym właśnie, w pełni swego życia scenicznego—doskonała. A więc przede wszystkim Buczyńska jako Katarzyna, dalej Mikołajewski jako Major Petkow, Bielicka jako Luka i inni.

W bilansie ogólnym — dobrze i miło zrobione widowisko.

Juliusz Żuławski

INSCENIZACJA PLASTYCZNA „CELESTYNY"

Jadwiga Chojnacka, Maria Koranówna, Tadeusz Cygler, Jadwiga Gosławska, Zdzisław Szymański w tragikomedii F. Rojasa „Celestyna".

GDYBY Władysław Daszewski pomylił się w inscenizacji plastycznej sztuki, dla której projektuje dekoracje i kostiumy — pomyliłby się niemniej logicznie, konsekwentnie i z tym samym wytrawnym smakiem, z jakim trafia w sedno.

Szczupłość sceny Teatru Wojska Polskiego i szerokość zamysłu reżyserskiego Leona Szylera w realizacji „Celestyny", — stworzyła trudności, które scenograf pokonał.

Prostota, jasność realizmu architektury scenicznej i wierność historyczna „Celestyny" w ujęciu Daszewskiego — nie jest bynajmniej wynikiem improwizacji, lecz jest koncepcją artysty, który opierając się o wiedzę doświadczenia i talent osobisty — wiedział czego chce i miał dane, aby to zrealizować. Koncepcja ta dała w efekcie doskonałość koloru, formy, rysunku i użytkowości kostiumów i dekoracji, oraz poświadczyła trafność, z jaką scenograf odczytał egzemplarz sztuki.

Prostota wyższej klasy, zwłaszcza w odniesieniu do architektury scenicznej, niestety nie przychodzi sama; trzeba ją wypracować i zdobyć, przy pełni świadomości i stałej kontroli, graniczącej z surowością — nie w sensie artystycznego niedoboru, lecz w znaczeniu oszczędności środków, jakie właśnie dzięki tej świadomej wstrzemięźliwości, dają w wyniku bogactwo. Tak w rzadkim przypadku, prostota graniczy z bogactwem. Inscenizacja plastyczna, „Celestyny" oglądana przez wnikliwego widza robi wrażenie logicznej i jedynej, lecz pamiętać trzeba, że zanim te cechy zostały osiągnięte — musiała przejść ona wszelkie próby, redukcje i wahania, aby osiągnąć w końcu swój wyraz ostateczny. A wyraz ten uzyskał Daszewski w pełni — dzięki

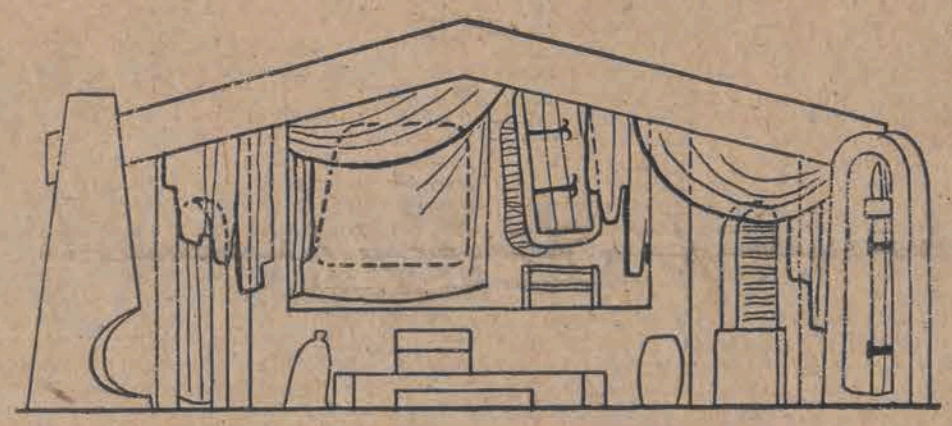

odsłona 3

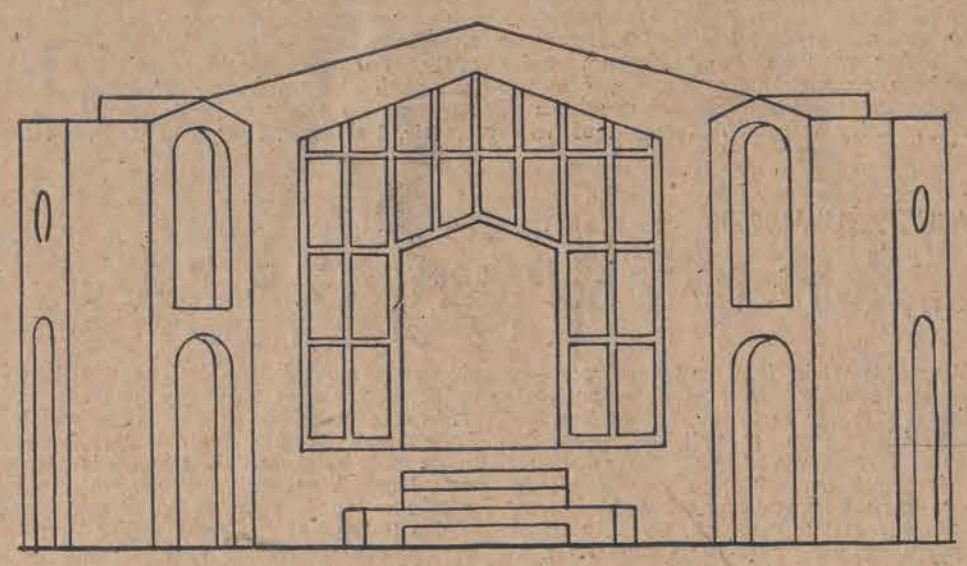

Schemat kompozycyjny

czemu uznać go należy za współrealizatora sztuki na równi z reżyserem.

Scenę w „Celestynie" podzielił Daszewski na dwie części: przednią, która odgrywa rolę proscenium i sceny właściwej, oraz na tylną — drugiego pianu, jaka stanowi równocześnie część pejzażową ujętą plastycznie. Przy stałej ogólnej architekturze, artystycznie szczęśliwie, zastosował podest, który pozostaje przez wszystkie siedem odsłon. Plan drugi, mimo płytkości sceny, został technicznie tak celnie rozwiązany, iż daje poczucie głębi. Kostiumy w formie i gamie kolorystycznej wykwintne — wywodzą się nie tylko ze znajomości kostiumologii, lecz opierają się również na wyrażeniu proporcji, sylwetki, koloru, umiejętności wykorzystania materiału i dostosowane są do indywidualnego typu aktora. Barwniejsze i treściowo ważniejsze elementy sztuki, jakimi są aktorzy, poruszają się na tle bardziej stonowanych dużych płaszczyzn, pogłębiających wrażenie zamkniętego świata średniowiecza.

Oceniając pozycję „Celestyny" w stosunku do całości pracy Daszewskiego, należy jednak zdać sobie sprawę, że ciasnota sceny i brak urządzeń technicznych, nie pozwoliły mu pokazać w całej pełni rodzaju swego talentu, który tak doskonale zabłysnął na scenie Teatru Polskiego i innych. Daszewski jest bowiem jednym z nielicznych scenografów o skali europejskiej, i on właśnie pozwolił nam zetknąć się z inscenizacją pojętą współcześnie. Pierwszy też podkreślał problem zawarty w sztuce, — tworząc dekoracje dla człowieka, potrafił odrzucić balast zbędnych omówień i form, które tylko przez złe tradycje pokutowały w teatrze.

MIECZYSŁAW PIOTROWSKI

Władysław Daszewski

Szkice do kostjumów

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List dwudziesty drugi)

Lato zaczęło się wcześnie. Miejscowości klimatyczne zostały zaskoczone zjawiskiem w przyrodzie — i przegrały. Sezon raz rozpoczęty mógł by wytrzymać nawet chwilowy spadek temperatury. Zresztą w południowej Polsce pogoda się już poprawia.

Mniej więcej co godzinę wyjeżdża na ogół przyzwoity autobus z Krakowa do Zakopanego. Jedzie się trzy godziny wśród okolic pięknych. Ale kto zna drogę dobrze — nudzi się. Pewien wybitny gastronom z Krakowa uczył nas w czasie ostatniej takiej podróży prawideł towarzyskiego zachowania. Polacy poza stołem to naród mrukliwy. Boją się rozmowy w obcym sobie towarzystwie. I tu stare klasowe przesądy grają swoją rolę. Przeceniamy — inteligenci — naszą obrotność umysłową, czy konwersacyjną. Schematyczna, przeważnie z lektury czerpana wiedza o życiu ludzkim nie daje na ogół obrazu żywego, głębokiego. Dopiero spotkania wszelkiego typu pogłębiają obraz i uczą koniecznej umiejętności: zachowania. Odpowiednie, ludzkie zachowanie inteligenta uwierzytelnia go w kręgach społecznych, którę mądrość czerpią raczej nie z książek. Na współżyciu opiera się zaufanie. A zaufanie to etyka postępu i demokracji.

Oczywiście nie jest to streszczenie myśli gastronoma, lecz moje wnioski, wywodzące się z rozmowy, która dzięki umiejętności towarzyskiej jednego partnera potoczyła się żywo.

A więc gastronom zmusił nas do ogólnej rozmowy — sam tocząc wątki główne. Dobierane w imię potrzeb i sytuacji. Mówiło się o ekonomii — ale teoria kształtowała się sama. Na przykład: kuchnia polska — mówił o rzeczy sobie najbliższej. Schemat psychologiczny jedzącego ograniczony jest wyobrażeniami noża, widelca, łyżki. Od ryb ludzie stronią, ponieważ nawet prostak wie, że ryby nie je się nożem. Jeśli zaś nie ma noża, nie ma pełnego schematu. Ryba jest przekąską. Wyrafinowaną przekąską. Najeść można się prawdziwie — tylko mięsem...

Już drugi człowiek, „któremu sprawa polskiego dorsza leży na sumieniu" powiedział mi z żarliwością rewolucjonisty: panowie pisarze róbcie wielki krzyk, gospodarka narodowa przez głupie nawyki snobów traci miliony, rybę można jeść nożem, ponieważ dorsz jest kalorycznie nie gorszym pożywieniem od cielaka. Jeśli nie przyzwyczaimy naszych obywateli do jedzenia ryb, wówczas czeka nas nie tylko utrwalenie klęski nadprodukcji dorsza, ale i ostateczna klęska naszej obory.

Mówiło się o polityce. Że rząd ma jedyne drogi do wzrostu zaufania przez efekty postępu: gopodarczego, technicznego, w przedmiocie bezpieczeństwa. Oburzył się gastronom — jakto nie wzrasta u nas postęp techniczny, nie wzrasta bezpieczeństwo? Przecież oto dziesięć kilometrów jedziemy po nowej nawierzchni, ten oto most w Chabówce za dwa miesiące oddadzą nam do dyspozycji — tutaj na szosie o 5 km. od miasteczka jeszcze rok temu obrabowali mnie doszczętnie, a dziś, mogę się państwu przyznać, wiozę 100 tysięcy na inwestycje sezonowe bez strachu. Jadę do Nowego Targu przygotować moich kolegów do nowego systemu dietetycznego. Nowy klient — nowy pan. Te okolice oddane zotaną dzieciom. Do samej Rabki przyjedzie 18 tysięcy naszych najmłodszych i najnowszych panów. Miasto dzieci. I nie jak dawniej wybranych przez los. Miasto — organizującej się przyszłości.

*

A tymczasem w Krakowie — dni miasta kultury. Nierówna pogoda psuje plany organizatorów. Większość imprez miała się odbyć pod gołym niebem. Ale niebo rzadko bywa błękitne i wygwieżdżone. Lepiej wiedzie się teatrom. Frekwencja wzrosła. „Stary Teatr" dał premierę „Otella". Teatr TUR-u w nowej sali „Wariatkę z Chaillot". Zwłaszcza to ostatnie przedstawienie pobudziło umysły i tak niespokojne. Zdania są bardzo sprzeczne. Polewka kręci głową niezadowolony — i nie chce mówić. Promiński twierdzi, jak zwykle pochopnie, że Giraudoux doszedł w tej sztuce do najwyższego kunsztu—w hochsztaplerstwie umysłowym, Kwiatkowski chodzi uraczony, jak po wizycie w nowym, ulepszonym „Lunaparku". „Wariatka z Chaillot" to ostatnie i niezupełnie skończone dzieło autora — Breza nazwał je pogrobowcem. Dla potrzeb przeciętnego widza polskiego wystawienie aż tak dziwnej sztuki nie miało wielkiego sensu — tymbardziej, że zrobione było według inscenizacyjnych wzorów francuskich. Francuz mówi dwa razy szybciej od Polaka, a, myśląc nawet najbardziej abstrakcyjnie, nie gubi drogi do stacji konkretnego celu. U nas w pół-obłędzie żyje większość ludzi, utrzymujących, że teorii reformatorskiej poświęcają życie. Ci ostatni tragedię osobistą wielkiego pisarza wezmą za koleżeństwo w swej pomylonej wierze.

W Krakowie odbył się odczyt Stefana Żółkiewskiego „Z problemów polityki kulturalnej". Jasne postawienie zagadnienia przydało się bardzo w mieście, które wytwarza, jak chyba żadne inne, opinię kulturalną, ale organizuje słabo. Zeszli się w Krakowskiej „Kuźnicy" przedstawiciele katolicyzmu wojującego, humaniści obiektywni, marksiści. Prelegent honorował instrukcje głoszone przeze mnie z taktem nadzwyczajnym: Wyce mówił „profesor Wyka", Natansonowi „doktór Natanson", o Szczepańskim „Jan Alfred Szczepański", do Hołuja zwracał się — w lewo, do Turowicza — w prawo, do Balickiego na wprost. Z dyskutujących najlepiej mówił prof. K. Grzybowski — jak zwykle — najdłużej Zagórski — jak zwykle — najdynamiczniej Wiraki — jak zwykle — najsłuszniej zakończył dyskusję sam prelegent. Nie trzeba się bać, że pod słowem organizacja kryje się propaganda jednej idei wiążącej. Państwo jest instytucją powołaną przez ustrój. W ustroju demokracji ludowej pozbawione prawa organizacji i rozprzestrzeniania będą tylko idee wrogie ludowi, humanizmowi, szczęściu powszechnemu ludzkości. Katolicy boją się nietolerancji. Katolicy boją się. A ewangelicy — nie. I to coś znaczy.

Stefan Otwinowski

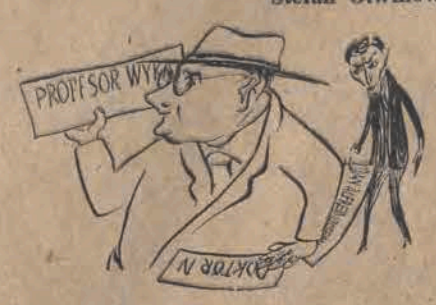

LIDIA ŁOPATYŃSKA

CZY NAPRAWDĘ „POEZJA POZORU"?

Krytyk ma prawo wydać o pisarzu ujemny sąd. Ma też prawo do metafor i do impresjonizmu. Ale ma obowiązek uważnego przeczytania dzieła krytykowanego. Ma obowiązek uzasadnienia wydanego sądu. Ze względu na zrozumiałość powinien też sprowadzać metafory do drobnych dawek.

Takie to komunały nasuwają się przy czytaniu artykułu Sandauera „Poezja pozoru" (Odrodzenie nr 21). Ze względów metodycznych uważam, że jest rzeczą pożyteczną by przyjrzeć się zbliska niektórym z poruszonych w tym artykule zagadnień.

Artykuł ten wprowadza czytelnika odrazu w — powiedzmy: zaczarowany krąg poetyckich wizyj i groźnych słów. Znajdujemy tam „obrosłego gumą i żelazem skorupiaka", „antynaturalny kompleks", „pozę" „parodię", „miał, chaos i ziejącą pustkę" — ujęte zresztą w wywody subtelne i interesujące. Ale gdy mniej więcej w połowie artykułu pada nazwisko Pawła Hertza, wywołuje efekt niespodzianki. Więc chodzi o recenzję z „Dwu podróży"? Więc skorupiak i antynaturalny kompleks były potrzebne po to, żeby dojść do Hertza? Ale niespodzianki trwają dalej. Dowiadujemy się o zakłamaniu Hertza, dowiadujemy się, że Hertz „baczy na pozorną i ortograficzną j e d y n i e (podkreślenie moje) zgodność wyrazów" w rymie (dlatego, że raz rymuje: Vigny—sygnet), że wiersze jego zawierają błędy językowe, erudycyjne, chronologiczne.

Kwestia zakłamania w literaturze i pojęcia tegoż w krytyce jest subtelna i zawiła i nie da się jej zbyć w kilku zdaniach. Chcę jedynie wysunąć twierdzenie natury ogólnej, które moim zdaniem trafniej niż pojęcia zakłamania zda sprawę ze zjawiska literackiego, jakim są wiersze Hertza: — Kierunki klasycyzujące XX w. (ściślej: kierunki operujące motywami starożytnymi zarówno w dziedzinie treści jak stylu) są — obok szeregu innych (np. filiacja „Wielkiego Meaulnes'a) kierunkami ucieczki od życia („evasion"), jakie występują jako odruch samoobrony w epokach trudnych i wymagających od jednostek i społeczeństw wielkiego wysiłku energii. Otóż postawa ucieczki od życia jest czymś zupełnie szczerym, powiedziałam już: odruchem, i różni się zasadniczo od zakłamania.

O ile chodzi o kwestię poprawności językowej, to oczywiście tu nie można nigdy być dosyć surowym i autor, który daje chociażby pretekst do tego rodzaju zarzutu, nie ma racji. Co się jednak tyczy innych zarzutów postawionych przez recenzenta, wydaje mi się, że uważne czytanie wierszy Hertza świadczy raczej na jego korzyść.

Więc przede wszystkim — Hertz wcale nie dziwaczy w rymach. Rym „sygnet-Vigny" jest czymś zupełnie sporadycznym i nie dającym podstawy do uogólniania. Przeciwnie. — Poeta używa — zwłaszcza we wcześniejszych poematach zbioru — rymów zupełnie łatwych (wiersze — pierwsze, chłodna — niemodna). Nie jest to bynajmniej pochwała, jest to po prostu twierdzenie sprzeczne z twierdzeniem recenzenta i to twierdzenie podejmuję się udowodnić prostym rachunkiem.

Dalej: wydaje się, że Hertz jest pisarzem o c z y t a n y m i nie zaryzykowałabym twierdzenia o jego błędach, wynikających z niewiedzy. Są to błędy świadome (abstrahując od wartości estetycznej tych błędów). Hertz pisze o Safonie „w twoje patrzę książki", a nic nie wiemy o książkach Safony? Zgoda. Ale — od kiedy „twoja książka" znaczy jedynie i wyłącznie „książka przez ciebie napisana", jeżeli właśnie to znaczy, to np. w „Moim Fauście" Valery'ego spotykamy równie ciekawą bibliografię, a nikt jakoś nie wypomniał Valery'emu braku erudycji.

Kwestia anachronizmu jest dość ciekawa, by się nad nią bliżej zastanowić. Anachronizm jest dzisiaj w poezji i w dziełach operujących fantazyjną transpozycją rzeczywistości zjawiskiem bardzo częstym, całkowicie zamierzonym i bardzo wdzięcznym. Najczęściej spotykamy go właśnie w dziełach operujących motywami starożytnymi, czy to będzie „Homer i Orchideja" czy „Obrona Ksantypy", czy sztuki Giraudoux i Cocteau, czy „Ulica sandałników" Nila Petersena i występuje tam zawsze ze swoistą wartością. Laforgue, jeden z czołowych poetów symbolizmu francuskiego, wprowadza anachronizm sytuacyjny i stylistyczny do swoich nowel i liryki, rozwijając niezwykłą rozpiętość jego wartości — od absurdu do kontemplacji wieczności (więc raczej: achronizm) i ten właśnie chwyt nadaje specyficzne piętno jego obliczu poetyckiemu.

Co się tyczy Hertza, anachronizm jest jego stałym chwytem, choć stosowanym bardzo dyskretnie. Polega najczęściej na zestawieniu przedmiotów równoważnych (mniej lub więcej), a pochodzących z różnych epok, np.:

...i pod wspomnieniem kładę jak pod krajobrazem
maszynę do pisania i lutnię zarazem.

Zestawienia tego rodzaju podkreślają ś w i a d o m ą konwencjonalność wybranych atrybutów: czy dzisiaj poeci mogliby na serio mówić o lutni. Sam zaś wiersz przytoczony przez Sandauera (o mieszkańcach złej Niniwy wspominających Spartę) wymaga przypomnienia, że Niniwa jest u Hertza motywem leksykalnym, do którego autor się chętnie ucieka i który stanowi dla niego rodzaj skrótu czy symbolu o wartości zależnej od zabarwienia kontekstu. Naprzykład:

... czarnej wstążki
wplecionych w ruch włosów wysoką Niniwę.

Na tej podstawie, t. zn. na podstawie uważnego i rzetelnego czytania wierszy Hertza twierdzę, że błędów wytkniętych mu przez Sandauera nie można się w nich dopatrzeć.

Lidia Łopatyńska

PRZEGLĄD PRASY

Układ polsko-czeski, który jako instrument pokoju ma wielkie znaczenie dla stabilizacji powojennej Europy, zawiera między innymi ważną dla obu stron umowę kulturalną. Zainteresowanie wzajemne w dziedzinie kulturalnej przejawiało się co prawda i przed wojną, lecz napięte stosunki polityczne, różnice struktury wewnętrznej obu krajów, wreszcie bolesna dla polskiej demokracji sprawa Zaolzia, wysunięta przez sanację w chwili dla Czechosłowacji nienajłatwiejszej, osłabiały je i komplikowały niezmiernie. To też o prawdziwych kontaktach kulturalnych polsko-czechosłowackich mówić można dopiero od niedawna. Trzeba tu zauważyć, że strona czechosłowacka uczyniła jak dotychczas o wiele więcej w zakresie popularyzacji kultury i literatury polskiej niż my w zakresie udostępnienia naszemu społeczeństwu tych wartości, które reprezentuje związana z najlepszymi tradycjami europejskimi sztuka i kultura czechosłowacka.

Wystarczy choćby wymienić ilość książek polskich — i dawnych i nowych — przyswojonych literaturze czechosłowackiej, wystarczy przejrzeć poważniejsze czasopisma literacko-społeczne, ukazujące się na terenie Czechosłowacji aby przekonać się, że rachunek ten nie jest równy. Do tej chwili nie ukazało się, poza jednym przekładem dość białej książki Hofmeistra, ani jedno tłumaczenie z literatury czeskiej, nie mówię już o słowackiej, która z racji swojego mniejszego zasięgu mniej być może dla nas interesująca niż literatura czeska. Przy okazji chciałbym tu zwrócić uwagę, że i ta jedyna po wojnie książka przetłumaczona z języka czeskiego ukazała się nakładem wydawcy prywatnego choć wydawałoby się, że to właśnie wielkie spółdzielnie wydawnicze miałyby obowiązek zająć się tą tak ważną sprawą. Nie należy sobie bowiem wyobrażać, że sytuacja jednostronnego zainteresowania może trwać długo bez jakiegokolwiek rewanżu z naszej strony.

Dla informacji czytelników podaję, że wśród poważnych pism czeskich, które docierają do nas, stałe rubryki spraw polskich przynosi m. inn. „Slovansky Prehled". Pozatem w literackim piśmie „Kytice" poświęcono ostatnio wiele kolumn przekładom i artykułom o polskiej literaturze współczesnej.

Po naszej stronie bilans dotychczasowej przyjaźni przedstawia się mniej korzystnie. Coprawda w okresie wizyty pisarzy czeskich i słowackich, która miała miejsce przed kilku tygodniami, pisma periodyczne polskie zamieściły nieco materiału z zakresu obu tych bratnich literatur, ale, choć i ten fakt należy uznać za wysoce pozytywny, wobec całkowitej posuchy, kilka wierszy i fragmentów nie da polskiemu czytelnikowi bliższego pojęcia o współczesnej Czechosłowacji i jej kulturze.

Dlatego dobrze się stało, że dwa poważne polskie miesięczniki wydały numery specjalne i poświęcone nauce i kulturze naszych południowych sąsiadów.

Nr 6 „Myśli Współczesnej" zawiera kilkanaście artykułów i prac omawiających problemy polityczne, ekonomiczne i naukowe współczesnej Czechosłowacji, zaś nr 5 „Twórczości" stanowi dość bogatą antologię współczesnej literatury czeskiej i słowackiej. Oto pokrótce zestawienie treści numerów specjalnych wyżej wymienionych pism:

„Myśl Współczesna" zawiera wstępne słowa przedstawiciela dyplomatycznego Czechosłowacji w Warszawie i Polski w Pradze. O „Odrodzonej Czechosłowacji", o jej obecnej strukturze politycznej i gospodarczej pisze Jarosław Prohaska. „Nowa Czechosłowacja— kończy swój szkic autor — przyłącza się do krajów, którym daleka jest sfera międzynarodowego imperializmu... kroczy swą własną drogą — drogą pokoju i demokracji — ku nowemu, doskonalszemu ładowi społecznemu".

O tym jak przedstawia się wewnętrzna struktura demokratycznej republiki czechosłowackiej informuje nas wyczerpująco studium F. Bauera: „Polityczna sytuacja w republice Czechosłowackiej". Autor omawia m. inn. zmiany pomiędzy linią polityczną pierwszej (1918—38) i drugiej Republiki, wskazując, iż były one konieczne i uzasadnione i podkreśla, że obie emigracje czechosłowackie, jak również i społeczeństwo wewnątrz kraju z uzasadnienia tych zmian zdawało sobie doskonale sprawę i sprzyjało im od początku. O ekonomice, o gospodarczym modelu Czechosłowacji pisze V. Hromadko. Szczegółowo omawia zmiany gospodarcze, jakie zaszły po oswobodzeniu Jaroslav Fukatko w oddzielnym, obszernym i zaopatrzonym w dane statystyczne artykule. O „Szkolnictwie czechosłowackim po rewolucji majowej 1945 roku" pisze L. Zilka. J. Mukarowsky zamieszcza pracę „O ideologii czechosłowackiej teorii sztuki". W zakończeniu tej pracy czytamy „Od czeskiego herbartyzmu do dzisiejszego strukturyzmu pojęć teorii sztuki prowadzi długa droga pełna zmian, w których najważniejszą w ostatnich dwuch dziesięcioleciach było zetknięcie się z dialektyczną logiką. Jeśli pokusiliśmy się o naszkicowanie dzisiejszego stanu następstw tego decydującego zetknięcia, zrobiliśmy to poto, by odnowić porozumienie przerwane tragicznie przez wojnę, między czechosłowacką estetyką, poetyką itp., a tymi kierunkami naukowymi w Polsce, które wtedy szły drogą bądź podobną do naszej, bądź całkowicie z nią zgodną".

Następnie mamy Karela Krejciego pracę o „Tle społecznym ideologii słowiańskiej w Czechach" i Novaka pracę o „Ochronie przyrody i krajobrazu". Numer uzupełniają kroniki, wśród których wyróżnia się J. Kopecky'ego kronika teatralna i Brejchy—filmowa. O plastyce informuje nas Anna Masarykova, o muzyce przed i po wojnie — A. Pacakova.

Jak widać z przytoczonej treści numeru, mamy tu do czynienia z prawdziwą monografią współczesnej Czechosłowacji, i to w dodatku opracowaną przez specjalistów czechosłowackich. Redakcji „Myśli Współczesnej," należą się gratulacje z okazji tak interesującego i starannie opracowanego numeru.

Sprawy literatury nie znalazły miejsca w omawianym przeze mnie zeszycie „Myśli", i słusznie, gdyż jest to obszerny rozdział w kulturze naszych sąsiadów, wymaga więc więcej miejsca, niż by mu mogła poświęcić „Myśl". Inicjatywę w dziedzinie zapoznania nas z tekstami współczesnej literatury czeskiej i słowackiej wzięła na siebie „Twórczość" i poświęciła temu cały numer 5. Jakkolwiek Edwarda Benesza wstęp o literaturze (przemówienie wygłoszone na zjeździe pisarzy czeskich) jest z pewnością bardzo kompetentne, to jednak należy żałować, że redakcja „Twórczości" nie postarała się o zamieszczenie krótkiego bodaj rysu literatur czeskiej i słowackiej. Ułatwiłoby to czytelnikowi orientację.

Proza czeska reprezentowana tu jest przez Juliusza Fuczika, Hostovsky'ego, Drdę, Rzezacza, Olbrachta, słowacką reprezentują — Bodenek, Jesensky. O Fuczika, wybitnym pisarzu czeskim, zamęczonym przez faszystów, pisze wspomnienie Maria Pujmanova, jedna z celniejszych czeskich powieściopisarek i nie dawny gość w Polsce.

Poezję reprezentują dwie kolumny — czeska i słowacka. Przekłady naogół staranne.

Wobec tego, iż w tym samym numerze „Twórczości" został zamieszczony „Diariusz kultury polskiej za r. 1946", opracowany jak i poprzedniego roku przez Piotra Grzegorczyka, nie mogę nie omówić tej pozycji, choć niema ona nic wspólnego ze sprawami czechosłowackimi, którym poświęciłem moją kronikę. Albo raczej ma tyle wspólnego, że jeśli interesujący się Polską Czech lub Słowak sięgnie do „Diariusza", to dowie się wielu interesujących rzeczy, m. inn. i tego, że w Kielcach ukazał się Nr 1 pisma regionalnego „Cychry" i tego, że w Rzeszowie powstało T-wo Teatru i Muzyki Ludowej, i tego, że w Jerozolimie została otwarta wystawa „Spójrz na Polskę", nie dowie się natomiast niczego o działalności łódzkich teatrów, łódzkiej Filharmonii ani też łódzkiego oddziału ZZLP. A jak mi się wydaje życie kulturalne Łodzi było dość ożywione w roku 1946. Podobne pretensje zgłosiły i inne centralne wydawnictwa (np. „Tydzień") i instytucje kulturalne. Wartość takich „Diariuszów" polega na ich rzeczywistej kompletności. Tego należy sobie na przyszłość życzyć i od cennej w zasadzie pracy p. Grzegorczyka.

ph

Bieńkowski contra Bieńkowski

Z dyskusji sejmowej (fragment przemówienia pos. Władysława Bieńkowskiego):

„Krótka lekcja pod adresem posła Bieńkowskiego, ułożona dla ułatwienia nauki sposobem katechizmowym w pytaniach i odpowiedziach:

(Dla uproszczenia pomijam w pytaniach spójnik „czy", który słuchacze będą łaskawi dodawać).

Pytanie: Muszą być stworzone warunki, któreby umożliwiły katolikom czynny udział w kształtowaniu rzeczywistości.

Odpowiedź: Warunki takie stworzone zostały w demokratycznej Polsce. Miliony katolików — robotników, chłopów i inteligentów biorą b. czynny udział w kształtowaniu naszej rzeczywistości — również na stanowiskach kierowniczych.

Uwaga metodyczna — aby się o tym przekonać należy przyglądać się ludziom ubranym w **zwyczajne** szare robocze stroje, między nimi jest wielu katolików.

Pytanie: Przebudowa ustroju dokonywuje się w myśl zasad marksistowskich.

Odpowiedź: Przebudowa ustroju w Polsce, jak i gdzie indziej dokonywa się w myśl zasad t. zn. według praw, które Marks wprawdzie pierwszy odkrył i naukowo uzasadnił, ale które istniały przed Marksem i istnieją obecnie.

Uwaga — do niedawna jeszcze wielu, a obecnie niektórym wydaje się, że gdyby Marks nie wymyślił walki klas, rewolucji, żyliby sobie spokojnie jak u Pana Boga za piecem. Pogląd ten ostatnio wyszedł z mody nawet u naiwnych.

Pytanie: — Należy stworzyć modus vivendi między państwem a kościołem.

Odpowiedź: — Słusznie. Pytanie skierowane pod niewłaściwym adresem.

Pytanie: — Skupienie szkolnictwa w rękach państwa i samorządu jest sprzeczne z interesami katolików.

Odpowiedź: — Tak sądzono w XI — XV stuleciu (tzw. średniowieczu) później zaczęto ten pogląd rewidować. W Polsce już w końcu XVIII wieku ks. Kołłątaj, ks. Piramowicz i wielu innych czcigodnych księży uznało, że w interesie katolików leży skupienie oświaty w rękach państwa. (Oklaski). Ks. Piramowicz i Komisja Edukacji Narodowej, w której zasiadali biskupi, uznali, iż „edukacja jest interesem publicznym". Pogląd ten przyjął się następnie w całym cywilizowanym świecie.

Pytanie: Ponieważ pojęcie demokracji jest nieuregulowane, nie należy w szkole mówić o demokracji.

Odpowiedź: — Słusznie. Demokrację oddać do uregulowania, a tymczasem mówić o oenerze.

Pytanie ostatnie: Należy skreślić z budżetu Ministerstwa Oświaty symboliczną złotówkę.

Odpowiedź: Nie. — Lepiej dodać symboliczną złotówkę z przeznaczeniem na akcję uświadamiającą wśród niektórych młodych katolików o znaczeniu oświaty.

Jako zadanie domowe otrzyma poseł Bieńkowski Witold do przemyślenia pytania:

1) Czy katolik koniecznie musi być obskurantem?

2) Jeśli ktoś w młodym wieku doszedł już do obskurantyzmu — w jakim kierunku będzie się rozwijał dalej?" **rdc.**

Katolicy i kapitał

W numerze 24 (117) „Tygodnika Powszechnego" ukazała się w „Kronice" następująca notatka:

„KONGRES PRASKI I KATOLICY. W lecie ma się odbyć w Pradze „światowy festival młodzieży", jako kongres „Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej" utworzonej w 1945 r. Nie wezmą w nim udziału katolickie organizacje młodzieży Francji, Belgii, Kanady i inne. A to ze względu na komunistyczny charakter wymienionej Federacji".

Redaktor Turowicz obstawiony Jasienicami i Strebejkami zbyt często pada ofiarą starych endeckich sloganów. Wiemy dobrze, czym była dla tego typu panów przed r. 1939 „żydokomuna". Przyzwyczajenia językowe tych panów okazują się trwalsze, aniżeli ustroje państw i społeczeństw. „Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej" jednoczy dziś wiele milionów młodzieży. Młodzieży całego świata, wszystkich ras i narodów. Młodzieży zjednoczonej pod hasłem utrzymania pokoju. Młodzieży różnych przekonań, wyznającej różne światopoglądy. Prócz faszystowskiego. W żadnym sensie nie jest organizacją komunistyczną. Jedynie młodzież komunistyczna należy obok reprezentantów innych światopoglądów do Federacji i wszyscy, nie separując się od komunistów, w jednym z nimi froncie pracują nad utrwaleniem wolności, demokracji i przede wszystkim pokoju. To właśnie jest przyczyną, iż reakcja amerykańska, imperialistyczny kapitał rozpętały agitację przeciw „Federacji". Między innymi walczy się argumentami komunistycznej wyłączności tej organizacji. W najemnej prasie kapitalistycznej to jest zrozumiałe. Ale dlaczego powtarza te kłamstwa organ katolików polskich?

tłk.

Noty

Wydawnictwa czeskie

Coraz częściej i regularniej docierają do nas wydawnictwa czeskie. Przychodzą książki z zakresu literatury, wydawnictwa popularno - propagandowe, ostatnio otrzymaliśmy piękne polonicum: czeski przekład „Anhellego", dokonany przez Józefa Matousa i wydany w Pradze przed kilku miesiącami. Wiemy, że drukarnie czeskie nie zostały zniszczone, że warunki wydawnicze w Czechosłowacji nie dają się porównać z naszymi, mimo to jesteśmy pełni podziwu. Tak pięknej graficznie książki nie tylko nie widzieliśmy w Polsce po wojnie: rzadko spotykaliśmy podobne i przed nią. Staranność z jaką drukarnia Orbis w Pradze złożyła antykowy tekst poematu, piękna stylizacja szaty graficznej (Frantisek Kobliha) czynią z czeskiego wydania „Anhellego" smakowity kąsek dla bibliofilów i pięknie świadczą zarówno o stosunku do polskiej literatury jak o kulturze społeczeństwa, w którym tego rodzaju wydawnictwo znajduje odbiorców i realizatorów.

Doszły do nas także czeskie wydawnictwa popularne, poświęcone zbliżeniu czesko - radzieckiemu. W ośmsetną rocznicę powstania miasta Moskwy, czeskie Ministerstwo Informacji wydało piękną antologię wypowiedzi czeskich mężów stanu, pisarzy i poetów, poświęconych stolicy Związku Radzieckiego. Jednocześnie wyszła książka, rodzaj turystycznego przewodnika po Czechosłowacji w języku rosyjskim. Książki te wabią oko i przykuwają uwagę już swym wyglądem zewnętrznym, spełniając w ten sposób swe pierwsze, główne zadanie: zainteresowania czytelnika. Kiedy bierze się je do ręki, patrzy na pięknie zmontowane układy zdjęć, przegląda urozmaicony spis treści — trudno się powstrzymać od słów uznania: tak należy robić celową propagandę. Warto, aby je u nas zobaczono. Nie są to rzeczy nieosiągalne. Możnaby zrobić podobne i w Polsce. Trochę inicjatywy i dobrych chęci. **m.**

O „życzliwości" czyli o tym jak się życzliwie pragnie wskazać palcem tych, których się uważa za „nieżyczliwych"

Dobrze znany Jasienica obłudnie rozwodzi się w „Tygodniku Powszechnym" nad podniesioną przez prof. Chałasińskiego potrzebą „powszechnej życzliwości". Jak było odrazu do przewidzenia — ze specjalnym upodobaniem smakuje zdanie Profesora „Potępić jednak należy przeszczepienie na nasz grunt hitlerowskich form denuncjacji", dając niedwuznaczny wyraz przekonaniu, że jako hitlerowską denuncjację rozumie przede wszystkim to, co ktoś kiedyś powiedział w polemikach z jego prowokacyjnymi wystąpieniami. Zastanawiające. Kto tu mówi o życzliwości? Nawet zwrot „metody złe i niebezpieczne", przypomina nam ordynarną napaść na dwóch pisarzy lewicy, wysmażoną niegdyś przez organ Kurii Biskupiej w odpowiedzi na polemikę, w której Jasienica znalazł się w kropce. i kto tu jest denuncjatorem? Proszę tylko przyjrzeć się dobrze zdaniu: „na żądanie wskażę szczegóły...". Kto kogo znieważa i denuncjuje publicznie, imputując mu popełnianie „świadomych fałszów" i „kantów"?

My wiemy, proszę Jasienicy, że „denuncjacją" skłonny jest nazywać wiele rzeczy ten, kto boi się „wsypy", kto ma nieczyste sumienie ale niechże się w końcu Jasienica uspokoi: tą forma walki jest nam najzupełniej obca.

Będziemy natomiast nadal i zawsze piętnować każdy fałsz i każdą hipokryzję, z jaką w najróżnorodniejszych przebraniach usiłuje omamić naszą czujność ta czy inna forma reinkarnacji faszyzmu. I o tym radzimy pamiętać wstrzymując się samemu od „denuncjacji" i prowokacji.

A wtedy nie trzeba się będzie uskarżać na brak powszechnej życzliwości. **rdc.**

Podręcznik historii literatury

Z podręcznikami historii literatury dla liceum jest tragedia. Nie mamy dziś ani jednego, który by odpowiadał minimalnym choćby wymaganiom w zakresie trafności wyboru i wartościowania, rzetelności metody naukowej, zwykłego rozsądku w spojrzeniu na rozwój kulturalny. Nie myślę o podręczniku marksistowskim, myślę jedynie o podręczniku, który by zadawalał minimum wymagań naukowych, dawał choć trochę prawdziwej wiedzy o kulturze, uczył nowych i trafnych gustów artystycznych. Takiego podręcznika nie będziemy mieli szybko. W tej chwili nikt u nas nie potrafi go napisać. Ostatnio wydany podręcznik Wojeńskiego jest bardzo mylący, nie trafny w wartościowaniu zjawisk literackich i społecznych.

Co wobec tego robić? Czekać? Ale jak długo. Sądzę, że jedyną radą jest wydanie materiałów do historii literatury w Polsce, opracowanych zbiorowo przez specjalistów. Jest wielu historyków literatury, polonistów i pisarzy, którzy potrafią jeden okres literacki, czy jednego pisarza opracować i pokazać w nowym świetle. Trzeba się do nich zwrócić. Tak wydane „Materiały" byłyby rodzajem podręcznika dla nauczyciela i studenta, przyniosłyby jakąś podstawową orientację, punkt wyjścia dla nauczania historii literatury.

Ale nie wolno dłużej zwlekać. W ciągu roku tej zbiorowej pracy można dokonać. Nie będzie doskonała. Wiemy o tym. Niech będzie początkiem, pierwszym przełamaniem dotychczasowego gaworzenia o literaturze w szkole średniej. **rp.**

Dewizy i prawa autorskie

Bardzo jest przykro starać się za granicą o nabycie praw autorskich na przekład książki czy wystawienie sztuki. Kiedy przychodzi do rozmowy z wydawcą lub agencją, słyszy się niejednokrotnie: „I poco podpisywać umowę, wy i tak jej nigdy nie dotrzymujecie". Niewątpliwie, dużą część odpowiedzialności za tę naszą niesolidność ponoszą ograniczenia dewizowe.

Są dwie różne sprawy: wysokość kredytów na wymianę kulturalną i stosunek do tych zagadnień komisji dewizowej. Wiemy, że musimy oszczędzać dewizy i że istnieje hierarchia potrzeb. Wiemy, że samochody i lekarstwa musimy sprowadzić, a biblioteki naukowe mogą jeszcze rok czy dwa zaczekać. Nie chcę obecnie krytykować tej raz na zawsze ustalonej hierarchii potrzeb, gdzie obrazy kultury są zawsze na ostatnim miejscu. Porozmawiamy o tym pod koniec trzeciego roku planu gospodarczego.

Idzie mi dziś wyłącznie o sposób załatwiania tych spraw przez komisję dewizową. Nie jest w porządku, jeżeli zagraniczny pisarz musi parę miesięcy czekać na honorarium autorskie w wysokości kilkunastu tysięcy złotych. Nie jest w porządku, jeżeli nie można doprosić się komisji dewizowej o kilkadziesiąt tysięcy franków na prawo wystawienia sztuki głośnego autora francuskiego. I to przy głodzie repertaurowym teatrów w Polsce.

Istnieje hierarchia potrzeb, ale również i hierarchia sum. Odmówienie czy zwlekanie z przyznaniem kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy na potrzebny cel, nie jest żadną oszczędnością, ale niechlujstwem. Poczucie proporcji jest rzeczą ważną. Nie należy go zatracać. **rdc.**

Sprostowanie i troska

W Nr 17 „Kuźnicy" wydrukowaliśmy nadesłaną nam notę z cytatami z rzekomego skryptu wykładów „Prawa Administracyjnego" prof. Wachholza i Langroda. Otóż dowiaduję się, ze sfer prawniczych, że padliśmy ofiarą mylnych informacyj. Cytowany przez nas skrypt — nie był odtworzeniem wykładów wyżej wzmiankowanych profesorów U. J. Był kompilacją wielu źródeł dokonaną przez nieznane osoby nieprzedstawioną nigdy żadnemu z wykładających na U. J. Wydawnictwo tych skryptów jest również anonimową, prywatną, piracką imprezą.

Przykro nam jest, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd, przez autora notatki. Ten ostatni zresztą prawdopodobnie również został wprowadzony w błąd przez wydawcę skryptów i ich anonimowych autorów, którzy swoje wydawnictwo podpisali nazwiskami krakowskich profesorów.

Przykrzejszym jest jednak fakt, iż w Polsce w nikim nie budzi większych wątpliwości rzekomy cytat z książki uniwersyteckiego znawcy prawa administracyjnego, cytat, w którym są teologiczne brednie o duszy, o demokracji, która tkwi w duszy, są reakcyjne napaści na reformę rolną. Najprzykrzejsze jest to, iż wszyscy zdajemy sobie sprawę, że takie ustępy w książce profesorskiej są zupełnie możliwe, że można podobne garściami cytować z profesorskich rozważań. To jest smutne naprawdę. **żłk.**

Literaci i podatki

Dostałem nakaz zapłacenia podatku lokalowego w wysokości 100 proc. kwoty rocznego komornego. W takiej wysokości płacą podatek lokalowy jedynie niepracujący. Złożyłem odwołanie. Zarząd Miejski w Łodzi odrzucił odwołanie. Dlaczego? Ponieważ jestem literatem. Literaci muszą płacić 100 proc. Ślicznie! Wobec tego mówię, że nie tylko jestem literatem, ale również pracuję (literaci, jak wiadomo, nie pracują) i jako zatrudniony w „Czytelniku" mam prawo do redukcji podatku, tak jak moi wszyscy koledzy z tej instytucji. A na to czcigodny naczelnik urzędu: „Nie, proszę pana, gdyby pan tylko pracował, chętnie byśmy panu obniżyli wymiar, ale ponieważ pan jest również literatem, musi pan płacić 100 proc.".

Bardzo mi się to podoba. To świetny pomysł: dodatkowe obciążenia dla pracujących pisarzy. Sądzę, że nastąpi teraz odebranie kartek żywnościowych nawet tym pisarzom, którzy pracują w instytucjach, korzystających z uprawnień do kartek. Żadnych równych praw. Jesteś pisarzem, płać! **rkm.**

Umierać — nie żyć!

W piśmie Polonii amerykańskiej „Głos ludowy" z dn. 5 kwietnia 1947 roku czytamy zachęcające życzenia świąteczne:

Wesołych Świąt i Wesołego Alleluja Życzy Całej Polonji Jan Jurkiewicz i Synowie pogrzebowi i licensjonowani balsamatorzy

Nowczesny Zakład Pogrzebowy
Najlepsza Obsługa w Mieście
Dwie Śliczne Kaplice Żałobne
Organ w Kaplicy

2396 CANIFF, Róg Brombach TO 7-2290, TO 7-2298.

rdc.

Wykres

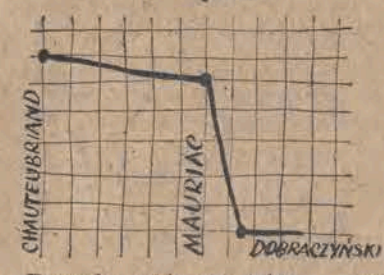

„...Pozwolę sobie na takie — nie talentowe, ale katolickie — zestawienie. Trzech pisarzy: Chateaubriand, Mauriac, Dobraczyński"

z artykułu Ksawerego Pruszyńskiego: „Jan Dobraczyński czyli trudności katolickiego pisarza", „Odrodzenie" Nr. 26.

TEATR KAMERALNY W ŁODZI

Danuta Szaflarska, Ludwik Tatarski, Feliks Żukowski, w sztuce G. B. Shaw'a „Żołnierz i Bohater".

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 98. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpaltę 40 zł.
D—015661 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.